№ 21. Warszawa, dnia 24 (12) Maja 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

„WYŻSZE POBUDKI."

Smutny, smutny nietylko w swem zakończeniu, ale i treści dramat rozegrał się już przed sądem państwowym w Lipsku, obciążywszy Kraszewskiego zarzutem zdrady kraju i karą 3½ rocznego więzienia w twierdzy. Pierwotnemu oskarżeniu, przedstawiającemu naszego powieściopisarza jako płatnego najmitę w usługach Francyi, nadał inną nieco postać list Bismarka, rzucony na szalę sprawiedliwości z całym ciężarem powagi i siły jego autora. Już gazety francuskie wykazały szereg faktycznych fałszów zawartych w tem piśmie, mianowicie, że rewizya u hr. Erlangera dokonana była istotnie w sprawie banku „Union generale," że wówczas ministrem wojny nie był Thibaudin, lecz Campenon, że pułkownik Samuel od roku nie żyje, że Ferry Kraszewskiego nie zna itd. Ale pomijając te szczegóły, znajdujemy w liście kanclerza rażące sprzeczności. O tajemniczem „Towarzystwie żołnierzy polskich," mówi naprzód, że objawiło ono swoją działalność w latach 1866, 70, 77 i 8, a natychmiast dodaje, że „w r. 1876 *zostało zniesionem*, ustąpiwszy miejsca jakiemuś związkowi szpiegowskiemu, który z natchnienia Gambetty powstał pod kierownictwem Br. Wołowskiego. Słowem, całe to doniesienie wygląda, jak garść piasku, rzucona w oczy sądowi.

Dlaczego Bismark wstrzymał się z niem aż do ostatniej chwili i wcześniej go nie udzielił? *Nowoje Wremia* stawia następującą hypotezę, czy też prawdziwe, według niego, rozwiązanie zagadki: Rząd niemiecki skorzystał z niebacznego zetknięcia się polskiego patryoty z czynem kryminalnym, ze zdradą stanu, aby ukazać publiczności europejskiej ogólny zarys działań niepoprawnej sprawy polskiej. List Bismarka jest krótkim wyciągiem z doniesień urzędowych. Zdawałoby się, że Niemcom nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo ze strony przypuszczalnego powstania polskiego i wogóle ze strony narodowo-rewolucyjnego ruchu polaków. Polskie prowincye, należące do Prus, są dość zniemczone, wojsk w nich do stłumienia wszelkiego buntu poddostatkiem, wreszcie sami polacy na tym gruncie działań swych by nie oparli. Tymczasem rząd pruski bacznie śledzi rozwój kwestyi polskiej. Znał on stosunki Kraszewskiego z komitetem paryskim przynajmniej od r. 1878. Już w r. 1879 padło podejrzenie na Hentscha. Ale widocznie niemieckie władze wojskowe nie przywiązywały wagi do rezultatu jego zdrady. Daleko więcej interesował je Kraszewski, którego ściany domu były dla policyi przejrzyste. „Proces ten — powiada w końcu *Nowoje Wremia* — wyjaśnia po części, dlaczego Austrya i Niemcy nie godziły się w zapatrywaniach na międzynarodową szkodę, wypływającą z polskiej agitacyi; rząd austryacki miał oczy zawiązane, błąkał się w ciemnościach i nie widział zarzuconej na siebie sieci, a rząd pruski niejako sam był tajnym współuczestnikiem w polskiej sprawie, dopóki schroniskiem jej było Drezno. Nie domyślając się niczego, polacy uważali grunt niemiecki za najdogodniejszy, za neutralny; w istocie grunt był wygodny pod rozmaitymi względami. Z Drezna prowadziła się podżegająca agitacya wojenna wówczas, kiedy nawet bez starań polaków stosunki pomiędzy Rosyą i Niemcami były naprężone. Na wojnie Rosyi z Niemcami i z Austryą patryoci polscy budowali i budują swoje nadzieje. Oddawna już ta polityczna rachuba dla nikogo nie jest tajemnicą — a lepiej niż komukolwiek była ona znana rządowi niemieckiemu. Dlaczegóż zwlekał z jej ujawnieniem? Czy nie spodziewał się pozyskać „polskiej sprawy" na swoje usługi i czy teraz nie stracił wiary w gotowość i przydatność polaków do służenia wyższym celom polityki niemieckiej? Czy też może proces Kraszewskiego ma pokazać „polskiej sprawie" jak jest bezsilną, dopóki rząd niemiecki stoi w szeregu jej przeciwników, i że sprawa ta przedewszystkiem i zanim przedsięweźmie cokolwiek i gdziekolwiek, winna ukorzyć się przed Niemcami?"

Dotąd *Nowoje Wremia*. Kończy ono swój wywód wątpliwościami, więc i my nie możemy mu nadawać większego znaczenia, niż go posiadać zwykła dziennikarska hypoteza. Ale to nam się wydaje prawdopodobnem, że ks. Bismark uderzając kamieniem w Kraszewskiego, nie miał na celu jego jedynie głowy, lecz chciał bądź wykazać niemoc spiskującego żywiołu polskiego, bądź też go z głębin tajemniczych wyłowić i jako oskarżenie przeciwko całemu narodowi użyć.

Chociaż list kanclerza niemieckiego roi się zmyśleniami, ma on pewną faktyczną podstawę, tj. w Paryżu istniało rzeczywiście przed kilku laty towarzystwo polskie działające w interesach rządu francuskiego. Ale czy ono dziś istnieje? Nie posiadamy pod tym względem informacyj stanowczych, ale posiadamy dość poważnego materyału do przypuszczenia, że ów związek — polityczny, wojskowy czy tam śledczy — z polaków utworzony — całkiem zniknął. Nawet dowody, zebrane przeciw Kraszewskiemu, nie sięgają po za rok 1881 i nie przekonywają o jego dotąd z Paryżem przeciągniętych stosunkach. Jest to co najwyżej stara sprawa, rola dobrowolnie przez swych uczestników przecięta. Ale ponieważ w miarę odsuwania się ich od niej, wina by malała, Bismark zaś zdobyte karty wygrać koniecznie przeciw polakom pragnął, więc ich w procesie Kraszewskiego użył.

Niektóre z pism naszych grubemi czcionkami wydrukowały przyznanie prokuratoryi, usuwające ze skargi „pobudki niższe“ (chęć zarobku) i przypisujące winę „wyższym“ (politycznym). Nie byłoby się czem pocieszać. Już chyba dobrze i dawno zrozumieliśmy, że nadzieja „zbawienia“ przez Francyę między rupieciami rodzimej dyplomacyi spocząć winna; już chyba to bielmo, z którem, nie widząc przepaści, tyle razy łamaliśmy sobie karki, na trzeźwych oczach nie spoczywa. Nie należałoby więc upatrywać patryotyzmu tam, gdzie tkwić by mogła tylko ślepa awanturniczość lub dziecinne złudzenia. Owe „wyższe pobudki“ nie sprawiałyby nam również zaszczytu, gdyby były bezinteresownemi usługami dla Francyi na niekorzyść Niemiec, w ich domu, pod osłoną niemieckiego obywatelstwa. Francya za zbyt nas mało obchodzi, a Kraszewski zbyt wysokie zajął stanowisko, ażeby z niego schodził dla wykradywania tajemnic wojskowych i narażania swego narodu na ciężki zarzut wiecznego w Europie spiskowania. Niech więc nikt z tych liści nie zwija wieńca dla znakomitego powieściopisarza. Według nas zasługuje on na nasze serdeczne współczucie, jeżeli — jak sam twierdzi — padł niewinną ofiarą niecnych podstępów. Nawet po wyroku, dopóki istnieje jakakolwiek wątpliwość, przypuszczajmy, że tak jest, bo zbyt boleśnie byłoby nam uwierzyć, że było inaczej.

PAŃSTWO JAKO PRZEDSIĘBIORCA.

Lat temu kilka afisze rozgłosiły były odczyt jednego z uczonych, a przytem męża, znanego na polu działalności politycznej — socyalisty aż po końce paznokci. Tytuł odczytu: „Ewolucya (rozwój) i rewolucya;“ nazwisko prelegenta: Elizeusz Reclus. Ciekawością, zarazem nadzieją nauczenia się czegoś pociągnięty, poszedłem i — doznałem, niestety, odczarowania srogiego. Znakomity ten geograf snadź w tej filozoficzno-socyalnej kwestyi na natchnieniu poległ, albowiem plótł trzy po trzy: słuchacze go nie rozumieli i, zdaje się, on sam siebie dokładnie też nie rozumiał. Nawet nie określił ewolucyi i rewolucyi, o ile jednak domyślać się było można, o pierwszej mówił z przekąsem, drugą uznawał i zalecał. Zagadnienie postawił, ale szkoda, iż nie postawił wyraźnie; dzięki bowiem rozgłosowi, jaki posiada imię jego, byłoby ono poszło pod obrady publiczne od lat kilku i stało się może powodem rozjaśnienia w umyśle niejednym. Wystąpiło jednak znów, nie pod postacią odczytu, ale dzieła, puszczonego w handel księgarski przez C. Reinwalda, wydawcę, a napisanego przez G. de Molinari, p. t. *L' évolution politique et la révolution.*

Dzieło to obszerne i ciekawe. Postaram się dać o niem pojęcie ogólne. Autor rozumowanie całe opiera na teoryi o państwie. Państwo, według niego, jest nie czem innem, jak przedsiębiorstwem przemysłowem, które się zawiązało, rozwijało i rozwinęło, jak przemysł wogóle. Wraz z ostatnim, odnosi się ono początkami swoimi do pierwszych chwil uspołecznienia, rozwiązującego przedewszystkiem zadanie bytu za pomocą wynajdywania narzędzi pierwotnych. Narzędzia owe służyły do obrony przeciwko wszystkiemu, co gromadom najpierwszym, trzodom ludzkim, zniszczeniem zagrażało, a więc, przeciwko naturze, przeciwko zwierzętom i przeciwko zbiorowiskom ludzkim, napastującym się wzajemnie. Właściwe zużytkowanie narzędzi wymagało organizowania tych zbiorowisk. Czemże organizowanie owo było, jeżeli nie przedsiębiorstwem, zakładanem, jak każde, w celu osiągnięcia zysku pewnego? Przybierało ono różne formy. Tu założycielem przedsiębiorstwa był człowiek pojedynczy, ówdzie pewna ilość członków gromady, gdzieindziej zajęła się niem gromada cała: tak powstały państwa — tak się wytworzyły władze: monarchiczna, oligarchiczna, demokratyczna; wywiązała się polityka, która, według autora, jest „nauką sposobów zachowywania, wyzyskiwania, wzmacniania i powiększania państwa.“

Przedsiębiorstwo to przechodziło koleje te same, co przemysł; było początkowo przemysłem w pieluchach *industrie rudimentaire*), stało się następnie przemysłem małym, zostało w końcu wielkim, podlegając ewolucyom takim samym, jakim podlegał przemysł wogóle wskutek doskonalenia stopniowego narzędzi i czynienia wynalazków. W historyi państw europejskich widzieć można wyraźnie przemysł państwowy mały i wielki: pierwszy przypada na dobę, w której się państwa z pośród zalewów barbarzyństwa wyłaniały i utwierdzały, drugi odpowiada czasom nowożytnym. W początkach i później władza, zwana pospolicie rządem, występuje w charakterze właściciela państwa, tak samo jak piekarz jest właścicielem piekarni swojej, fabrykant — fabryki, bankier — banku. Jak piekarz ma piekarczyków, palaczów, roznosicieli chleba, fabrykant dozorców i robotników, bankier kasyerów, rachmistrzów, korespondentów, woźnych, tak rząd posiada agientów, zorganizowanych wedle rodzaju zajęcia, służącego właścicielowi stałemu i dziedzicznemu w monarchiach i czasowemu w respublikach do ciągnięcia korzyści z przedsiębiorstwa państwowego.

Oto szkic teoryi pana G. de Molinari. Do niej autor stosuje wszelkie przejawy rozwoju państwowego w Europie, dzieląc je na prawidłowe czyli ewolucyjne i nieprawidłowe — rewolucyjne. Pierwsze regulują stosunki wzajemne pomiędzy wytwórcami i spożywcami. Wytwórcą jest rząd. Produkuje on: porządek, bezpieczeństwo, warunki pomyślności społeczeństwa i pomyślności państwa; stanowi to jego specyalność, doskonalącą się w miarę, jak ją dłużej wykonywa. Stąd najlepszą formą rządu jest monarchia dziedziczna, opierająca się na klasie ludności specyalnie do pomagania panującemu przeznaczonej. Monarcha taki i klasa taka do produkowania porządku, bezpieczeństwa i warunków pomyślności wprawiają się z pokolenia na pokolenie, wprawiają się do rządzenia i, zajmując się tem wyłącznie, pozostawiają reszcie ludności czas i swobodę pracy w rolnictwie, handlu, przemyśle, naukach, sztukach pięknych etc., słowem, ułatwiają postęp wszechstronny, usuwając mu z drogi te przeszkody, jakie ludziom stawia udział w rządzeniu. Na nieszczęście rząd (autor ma szczególnie Francyę na uwadze) nie pojmował roli swojej przemysłowej, a raczej, pojmował ją źle; artykuły bowiem produkcyi sprzedawał konsumentom, to jest narodowi, za drogo. Wynikły stąd nieporozumienia, które wywoławszy błędne filozoficzno-polityczne teorye, sprowadziły rewolucyę.

Wielka rewolucya francuska była, zdaniem autora, wielką dla ludzkości wogóle klęską pod każdym względem, cofnęła postęp i postawiła teoryę fałszywą wszechwładztwa ludowego. Większą część książki zajął M. dowodzeniem zgubnych tego ruchu wyników, wykazując je w każdej ga-

---

³)

„Kołatał“ – i nie „otworzono.“

W niedzielę zwykle dużo ludzi zjeżdżało do miasteczka Jelników. Ciągnął ich tam kościół i rynek, a raczej kramy żydowskie.

Przed budynkiem o dwóch skrzydłach, stykających się ze sobą pod prostym kątem i mieszczących w sobie kramy Janklów, Szmulów itp. aż tłoczyły się wówczas wozy, szerzące woń smoły. Pełno było twarzy brodatych i bez bród albo znów z brodami powstałemi skutkiem odpowiedniego podwiązania różnobarwnych chustek pod gardłem chłopek zamężnych. Tu kożuchy białe, tam siermięgi krajką czerwoną w pasie przewiązane; tu buty, tam znów łapcie łyczane. Gdzieniegdzie, śród tego tłumu pstrego, ukazywała się kurtka mieszczańska, którą też okrywała plecy Łukasza.

— To tylko powiadam — rzekł rozprawiając w gronie mężczyzn i kobiet — że już teraz wy do mnie będziecie przychodzili po garnki i kociołki!... Ja wam je będę odlewał i sprzedawał! Szmul się rozzłości, bo nikt nie kupi tych, co on z Homla przywozi... Ha... cóż robić?... Trudna rada! Niech wie, psia para, kto jaki!...

— Oj, coś ty nam tumanisz! — ozwał się któryś rezolutniejszy.

— Albo to wszystko prawda? — wtrącił niecierpliwe słówko jeden z podochoconych.

— Bodajbym z tego miejsca nie wstał, jeśli kłamię!... Wy spytajcie Ihnata, co u dozorcy w smolarni służy. Ot, stoi tam koło kramu Josiela, herbatę dla swego pana kupuje... On wam powie najlepiej, bo widział...

— Hej, Ihnat! Czy to prawda? — ozwało się naraz aż kilku.

— Wierzcie mu! Na własne oczy widziałem, jak calutki dzień dmuchał, dmuchał, aż ci naraz jak nie lunie z pod pieca niby woda czerwona! Ja w nogi — takem się zląkł... Teraz wy, braciszki, sokolęta i wy ciotki, naznoście mu dużo szczerbatych garnków. Obaczycie, że nowe będą lepsze!

— Dobrze mówi! — wykrzyknął uradowany ślusarz — wy tylko dawajcie mnie jak najwięcej potłuczonych i szczerbatych kociołków, garnków. Obaczycie, co ja z nich zrobię. Ani wam się śniło!...

Słuchający gospodarze przestali już wątpić i, porozdziawiawszy gęby, wpatrywali się bezmyślnie w Łukasza, skrobiąc sobie głowy.

— A cóż ty żonko myślisz? Jak ci się zdaje? Możeby i dobrze było dać mu popękany statek nasz gospodarski?... Niech by naprawił...

— A juści... i ja to samo myślałam.

— Otóż tak zróbcie — podchwycił Łukasz. Będziecie jechali na jarmarki i do cerkwi, pozbierajcie, co kto ma potłuczonego, poszczerbionego, i przywieźcie do mnie. Chata moja, wiecie, na skraju miasteczka stoi. Po drodze wam będzie...

Skuteczna musiała być rada ślusarza, bo znalazło się sporo chłopów, co mu poznosili zużyte czerepy surowcowe.

Tak z tego był rad Łukasz, iż co chwila powtarzał: „Jak z nieba spadło, jak z nieba.“ Markotno mu się tylko robiło, gdy który z dostawców topnika oświadczył, że niech jeno nie dotrzyma obietnicy i nie odleje, to czerepów dostarczonych dlań nie ominie znajomość z jego czaszką.

Pewność siebie i radość wielka prędko jednak wygnały z serca tę obawę. Wszedł nawet w układy z zakrystyanem. Prosił go o pozyskanie mu względów u proboszcza.

Na dzwonnicy od kilku lat bujał się przed nabożeństwami stary dzwon, który ochrypłym swym głosem obwieszczał wiernym chwile — jedyne w ich życiu — podnoszenia myśli i uczuć w górę. Proboszcz posta-

łęzi działalności ludzkiej. Wszechwładztwo ludowe jest, według niego, fałszem, dlatego, że zastosowane w praktyce staje się wprost niemożliwem. Trudność zastosowania zniewoliła uciec się do zastępstwa i wytworzyła parlamentaryzm. z drugiej zaś strony teorya wszechwładztwa ludowego zbudziła pożądania, wyrażające się pod postacią agitacyj socyalistycznych, wyrzucających na wierzch szumowiny takie, jak dążności kolektywistyczne, jak anarchia, nihilizm. Prowadzi to do rozstroju społecznego, któremu nie zaradzi system reprezentacyjny, a to dlatego, że nie naprawia on zgoła złego, które zgubiło monarchię: nie sprzedaje taniej wyrobów produkcyi przemysłu państwowego. Francyę rzeczpospolita kosztuje drożej, aniżeli monarchia, a obok tego klasę rządzącą, doświadczoną i wprawną zastąpili ochotnicy, niemający najmniejszego o przemyśle państwowym wyobrażenia, ale posiadający za to dosyć zręczności i przebiegłości do narzucania się na zastępców i przewodników tłumom ciemnym. W rękach takich przemysł iść musi coraz to gorzej, aż dochodzi wkońcu do dyktatury, przybierającej formę bądź stathuderatu lub konsulatu, bądź cesarstwa. Następuje konfiskata wolności wszelakich i rozpoczyna się na nowo u dołu praca wyzwolenia, za pomocą spisków, zamachów, ofiar i fałszowania przemysłu państwowego. Kierunek ten błędny z taką napiera siłą, że państwa europejskie muszą z konieczności rzeczy przechorować na republikanizm. Autor konieczność tę fatalną upatruje w monarchiach konstytucyjnych, będących według niego, z jednej strony, sfałszowaniem zasady monarchicznej na rzecz republikanizmu. Fałsz ten podwójny utrzymać się nie może. Anglia, Włochy, Hiszpania, Belgia, Holandya, Niemcy pójdą za przykładem Francyi, wpadną w republikanizm, następnie w anarchię, w odmęt, powrócą do stanu pierwotnego uspołecznienia, to jest, do stanu trzody ludzkiej. Molinari przepowiada to; przepowiedni swojej atoli na tem nie kończy. Ze stanu tego wytworzy się prawidłowy ustrój państwowy, a to z przyczyn następujących.

Społeczność europejska, acz powróci do stanu pierwotnego trzody, lecz powróci do niego z zasobem narzędzi i wynalazków przemysłowych, których nie posiadała gromada ludzka w chwilach, kiedy się organizować zaczynała. Nowa przeto w zakresie organizacyi czynność osnuje się około zasobu tego i dzięki jemu rządy staną w roli swojej naturalnej: w roli przedsiębierstw przemysłowych, ciągnących ze społeczności zyski i dających im w zamian za nie porządek, bezpieczeństwo i warunki pomyślności — produkty państwowe. Będzie i ustępstwo na własność i wyzysk tak państw, jak gmin, temu lub tym, co potrafią produkować jaknajtaniej. „W ten sposób zamiast pochłonięcia organizmu społecznego, jak chce rewolucya i komunizm, gmina i państwo w organizm ten się wleją. Zadania ich podzielą się i społeczność zawrze mnóstwo przedsiębiorstw, które pod naciskiem wynikających z natury ich szczególnej potrzeb wspólnych, stworzą związki lub państwa swobodne, pełniące każde z osobna rolę specyalną. Przyszłość nie należy, ani do pochłonięcia społeczności przez państwo, do czego komuniści i kolektywiści roszczą pretensyę, ani do zunicestwienia państwa, o czem roją anarchiści i nihiliści, ale do rozpłynięcia się państwa w społeczności. Jest to, że przypomnimy formułę sławną: — powiada autor — *Państwo wolne w społeczności wolnej*.“

Tukim jest ustrój, jaki nam go Molinari ukazuje w oddaleniu. Ma on uczynić zadość wszelkim narodowościowym, patryotycznym, ekonomicznym i postępowym wymogom, powściągnie ambicye, zaprowadzi w świecie pokój, postawi każdego na miejscu właściwem i w położeniu odpowiedniem i wynagrodzi każdego słusznie. Czy co lepszego i pożądańszego być może?

. . . .

T. T. Jeż

SPOŁECZEŃSTWO W ŚWIETLE BIOLOGII.

I.

Wszelkie wogóle metody badań ludzkich, jak to trafnie zauważył Herbert Spencer, mogą częstokroć prowadzić do błędów i niedorzeczności z powodu dwu głównie przyczyn, wprost sobie przeciwnych. Naprzód dlatego, że w dociekaniach zapominamy o przewodniej myśli, poszukujemy bez ładu, bez dedukcyjnie powziętej nadziei, która zdolną by była utrzymywać myśli nasze w pewnym wytkniętym kierunku; kiedyindziej znów dlatego, że stosujemy zbyt pohopnie pewne apriorystyczne pojęcia do danych zjawisk, przytępiamy przeto zdolność krytyczną i przedmiotowość a stąd dochodzimy nieraz do wyników tak krańcowych, iż dalej kroczyć niepodobna. Wtedy cofamy się, szukamy omyłki, by myśl na właściwą skierować drogę. Stosuję to do zjawiska tej gorączki, z jaką liczni socyologowie nowocześni starają się przeprowadzić ścisłą paralelę pomiędzy społeczeństwem a organizmem.

Głęboka wiara w wszechwładność praw rozwoju, rządzących całym światem organicznym a więc i człowiekiem wraz z wytworami ducha jego — cywilizacyą, podsunęła wielu myślicielom przekonanie, iż społeczeństwo ludzkie jest organizmem, a tę dedukcyjnie wydobytą myśl, zwykłym trybem pochodu filozofii, gorączkowo chciano stosować do znanych faktów i pod nią podciągać wszystkie niemal zjawiska społecznego życia. Ponieważ zaś jednostronność taka musiała nieraz wyrodzić konsekwencye śmieszne (np. wywody Lilienfelda), nic też dziwnego, że pośród socyologów, umiejących na prawa rozwoju społecznego spoglądać tylko przez ciasne szczeliny stosunków czysto ludzkich, pośród socyologów, niemogących wznieść się wyżej ku odwiecznym prawom przyrody, wytworzyła się szkoła wprost przeciwna, twierdząca, że postęp biologii powinien iść swoją, a socyologii swoją drogą, że przez pryzmat praw natury nie można spoglądać na stosunki społeczne bez niebezpieczeństwa popadnięcia w grube błędy.

O ile nam się zdaje, zarówno jedni jak drudzy mylą się skutkiem tego, że nie oceniają bliżej, jakie jest wogóle znaczenie wszelkich porównań, kiedy one rzeczywiście prowadzą do *wyjaśnienia* pewnych złożonych zjawisk, kiedy mają zatem pożytek naukowy, a kiedy są raczej zabawną tylko łamigłówką?

Niech nam wolno będzie zboczyć nieco od ciągu myśli i do przykładu się zwrócić. Jedną z najpiękniejszych nauk przyrodniczych i najbardziej godnych nazwy filozofii, jest anatomia porównawcza. Jak już sama nazwa dowodzi, jest to umiejętność nie opisowa, lecz na pierwiastku abstrakcyjnym oparta. Ale cóż porównywamy z sobą w tej dziedzinie? Był czas (okres Okena, Goethego itd., czyli niemieckich filozofów natury), kiedy zoologowie sądzili, iż wszelkie organy, mające cokolwiekbądź z sobą wspólnego, można zestawiać; opierano się przytem wprost na podobieństwie kształtu, bez względu na to, o ile ono w pewnym *przyczynowym* pozostaje związku. Stąd też wyprowadzano często paradoksalne wnioski i teorye. Nowocześni morfologowie porównywują z sobą tylko takie utwory, które pozostają w pewnej rodowodowej, tyczącej

---

nowił sporządzić lepszy i donioślejszy i nie odmówił swych względów ślusarzowi.

Śliczny był wieczór! Drzewa pokrywał liść jasno-zielony, wiosenny, rozkosznie połyskujący blaskami słonecznymi. W powietrzu pływały fale zapachu. Iglasty bór tchnął żywicą i wonią brzóz. Drozdy, wilgi i kukułki z żórawiami na czele, gdzieś aż na kępach bagnisk, po prostu aż szalały z radości. Gwarno więc było od ich pieśni miłosnych.

Gwarno było i przed domkiem dozorcy.

Całe podwórze szeleściało od powtykanych młodych latorośli klonowych i jarzębinowych. Z powodu minionych Zielonych świąt przybrane one było w tak zwany „maik.“ Chrabąszcze chciwie napadały na powiędłe już liście tych latorośli, brzęcząc ustawicznie. Młodsza dziatwa dozorcy uganiała się za nimi. Słychać było co chwila, jak któryś z malców trafił owada kijem. Wtedy powietrze rozbrzmiewało wesołym śmiechem, konającym gdzieś aż w ciemnym borze.

Przez otwarte okno pokoiku, gdzie dziatwa sypiała, widać było starszego syna i Łukasza. Pierwszy przybijał zatyczkę w lufie, drugi strzelbę czyścił. Tak się gotowali na głuszce, czy cietrzewie. Pierwszy pogwizdywał wesoło, drugi miał twarz rozpromienioną czegoś i opowiadał z przejęciem się wielkiem swe przygody myśliwskie.

Wszedł dozorca.

— Cóż? odlewałeś dziś Łukaszu?

— A jakże, panie! Odlałem już surowiec do formy..: Jutro pokażę panu. Ho, ho, obaczy pan, jakie to będą cacane piasty!... Ależ i namordowałem się sporo!

— No, no, nie mów hoc, aż przeskoczysz!... — napomniał dozorca swoim zwyczajem, z odcieniem lekceważenia w głosie.

Zarzucili strzelby na plecy, syn i ślusarz, i poszli na całą noc do lasu.

Nim jednak wsunęli się w głąb, gdzie było tokowisko cietrzewi i budki do wyczekiwania na zlot tych ptaków, stanęli u skraju łączki. Tam słomki zapadały, ciągnąc górą na żer.

Wieczór był właśnie w sam raz po temu, pogodny i bez wiatru. Poważny pogwar drzew zlewał się z buczeniem bąka, bekiem krzyków, poświerkiem drozda-improwizatora lub niespokojnym wrzaskiem płochliwego kosa, co gdzieś w ciemnym krzaku nocleg sobie obrał.

W piersi Łukasza serce czegoś radośnie drgało, a tęczowe obrazy w duszy mu się przesuwały. Ciągle powracał myślą do rozmowy rządcy dóbr dziedzica-hrabiego z pomocnikiem. Najuparciej jednak dźwięczały mu wyrazy: „zdolny człowiek.“

Ulicę, osłoniętą rządem chałup, w Jelnikach, mknie powóz z dziedzicem. Łukasz nie patrzy na eleganckie pudło, ani na ozdoby lśniące: oczy wlepił w osie, co tryskały z siebie promieniami dziwnie jakoś dwojącymi się i trojącymi. To jego piasty, tam osadzone, tak świecą...

Powóz biegnie ku dworowi, a on, podparłszy się w boki, junacko wodzi wzrokiem dokoła po twarzach uczonych mełamedów, przebiegłych kramarzów i chłopów, co stali przed urzędem.

Biedny Łukasz! Chełpił się tak w duszy zawczasu, a zapomniał, że pan dziedzic sprowadził sobie trzy landa od Bryla z Warszawy za pieniądze, zaliczone na smołę przez Dawida Tucznego.

Gdzie mu do Bryla!..

* *
*

Obawa ogarniała Łukasza, gdy ujmował ręką młot do rozbijania formy, choć czuł i nadzieję...

Roztrzaskał płaszcz — połowa piasty wyglądała. Wydobył ją co prędzej. Kształtowi nic zarzucić nie można było.

— Pokaż no mi ją, pokaż! — wołał dozorca.

— A co, panie? Jak Boga kocham, udało mi się, udało!...

się pochodzenia, zależności. Tak np. wiadomo, że u zarodka ryby i zarodka zwierzęcia ssącego w pewnym okresie rozwoju ze ścianek kanału pokarmowego tworzą się wypukliny, ślepo zakończone. U ryby przekształcają się one w pęcherz pławny, u ssaka ulegają dalszym jeszcze zmianom i przeobrażają się na płuca. Historya więc rozwoju dowodzi, że płuca ssaków są tylko bardziej zróżniczkowanym i doskonalszym pęcherzem pławnym ryb. Możemy je też porównywać z sobą, a stąd wyniknie, o ile jeden z tych organów dalej w rozwoju się posunął, niż drugi. Zestawiać je można dlatego, że oba te organy są w pewnej zawisłości genetycznej; jeśli znajdziemy pewne podobieństwa w ich budowie, to powiązać je będziemy mogli ideą przyczynowości. Grupa cech *a* jest jednoznaczna z grupą cech *b*; ponieważ *a* i *b* są produktami wspólnej formy *c*, pewnych zaś znamion, które widzimy u *a*, nie dostrzegamy u *b*, ponieważ są one skutkiem dalszego różniczkowania, które nastąpiło u *a*, ale które nie nastąpiło u *b*.

Podobnie jak w tym wypadku, tak też zawsze, ilekroć razy biolog ma przed sobą pewne zjawiska, porównywa tylko te z nich, które pozostają w jakimkolwiekbądź wzajemnym związku genetycznym, jeśli rzeczywiście porównanie ma bliżej je *wyjaśnić*.

Zapytajmy teraz, na czem polega wszelki rozwój organiczny?

Tu wchodzą do gry dwa czynniki: całkowanie (integracya) i różniczkowanie (dyfferencyacya). Przypuśćmy, że mamy swobodnie żyjącą komórkę organiczną. Gdy ona ulegnie podziałowi, czyli, gdy zamiast jednego osobnika powstanie kilka, występuje natenczas dążność do złączenia ich w kolonię. Większy agregat organiczny w pewnym kierunku lepsze może mieć warunki bytu, aniżeli mniejszy, który łatwiej np. może być uniesiony prądem wody, wystawiony na różne nieodpowiednie wpływy itd., a im ściślejszym ten agregat się staje, tem warunki odżywiania o tyle są lepsze, iż każda komórka, odżywiając siebie, karmi zarazem inne swe towarzyszki, w cielesnym pozostające z nią związku. Wspólna praca szybciej i lepiej idzie, aniżeli pojedynczo przez każdy osobnik na własną wykonywana rękę.

Tu mamy początek całkowania. Ale skoro raz powstał agregat komórek, to już przez to samo, że jedne z nich znajdują się bliżej jego powierzchni, inne zajmują położenie wewnętrzne, nie wszystkie mogą pełnić funkcye życiowe jednako. Z drugiej strony, ponieważ w agregacie nie ma dwu osobników najzupełniej identycznych pod względem fizyczno-chemicznych ich własności, a wszystkie one zarówno dążą do życia, wywiązuje się między niemi walka o byt i następuje podział pracy. Jedne rozwijają swe czynności w pewnym kierunku, inne w innym, a przy tej większej różnorodności funkcyi, łatwiej obok siebie utrzymać się zdołają*). Z tych więc powodów nastąpi podział pracy, a tem samem zróżniczkowanie agregatu. Jeśli początkowo wszystkie komórki kolonii jednakowo pełniły funkcye, to teraz spotkamy już stopniowo wzrastającą różnorodność i komórki trawiące, płciowe, nerwowe itd., różniące się przeznaczeniem i budową.

Rozwój idzie dalej. Oddzielne komórki trawiące w tem samem są teraz położeniu, co pierwiastkowo żyjące oddzielnie. Tak jak te ostatnie prawem całkowania utworzyły wspólną kolonię, tak teraz komórki trawiące w ściślejszy wstępują związek, tworzą wspólny agregat trawiący — kanał pokarmowy, komórki nerwowe—agregaty komórek nerwowych czyli centra nerwowe itd. Po tem nowem całkowaniu znów występuje różniczkowanie. Pomiędzy komórkami trawiącemi znów następuje podział pracy, kanał pokarmowy rozpada się na różne części, z których każda różne pełni funcye, jedna trawi, druga wydziela itd., powstaje żołądek, gruczoły, kiszki. Podobne różniczkowanie odbywa się i w innych połączeniach komórek nerwowych, płciowych, zmysłowych itd.

W taki sposób całkowanie i różniczkowanie, na przemiany działając, warunkują ciągły, stopniowy rozwój organizmów od prostszych do bardziej złożonych form a w coraz wyższych szeregach występują coraz to *nowe*, przedtem nieistniejące właściwości.

Zapytajmy teraz, jakiż stąd wniosek? Otóż, skoro w szeregu rozwojowym organizmów coraz większa występuje złożoność i coraz to nowe rodzą się właściwości, to wszelkie w tym szeregu porównania tylko wtedy wyjaśnić nam mogą stosunki bardziej złożone za pomocą prostszych, jeśli posuwamy się *stopniowo* od jednej do tuż nad nią w pewnym kierunku wyżej stojącej formy, bo samo całkowanie i różnicowanie występuje również stopniowo. Jeśli np. złożony jakiś organizm wielokomórkowy, w którym spotykamy rozmaite funkcye złożone, chcielibyśmy porównać z pojedynczą komórką i szukać ich w niej, doszlibyśmy z konieczności do wielkich bredni. Zechcijmy np. szukać w komórce funkcyj wątroby lub śledziony, płuc lub mózgu. Nic podobnego odnaleść tak nie można, gdyż komórka jest istotą tam mało zróżnicowaną, iż takie ściśle odgraniczone, specyalne funkcye, jakie organy powyższe pełnią, w niej jeszcze albo wcale nie istnieją, albo przedstawiają tak nieskończenie małe zawiązki, że ich zestawiać z pierwszemi niepodobna. Możemy jednak ściśle porównywać z sobą wszystkie odpowiednie funkcye mniej lub więcej zróżnicowanych komórek, lub mniej czy więcej złożonych wyższych organizmów.

Z uwag powyższych wypływa wniosek, że w biologii porównawcza metoda badań, jeśli ma posiadać znaczenie rzeczywiste, naukowe czyli wyjaśniające dwa powinna pod uwagę brać warunki: 1) musi uwzględniać ideę zależności genetycznej; 2) winna prowadzić porównania stopniowe, odpowiadające kolejnym przemianom naturalnym. (D. n.).

Józef Nusbaum.

*) W. Roux *Der Kampf der Theile Organismus.* 1881.

Z GALICYI.

Lwów, 12 maja.

Rozmaite sposoby wojowania. — Pan Lam. — Pociąg bez lokomotywy. — Kapłanki i „nie-kapłanki." — Definicya pozytywizmu. — Strzał „z za płotu." — O pomieszaniu rozumów. — Oszustwo w Kasie zaliczkowej.—Koleżanka Banku włościańskiego.—Nowy zwyczaj narodowy. — Zapowiedź zjazdu literacko-artystycznego.

„*A la guerre, comme à la guerre*"— pisałem w jednym z poprzednich listów — ale walka, choćby i najzaciętsza, powinna być zawsze rycerską." No, nie wszyscy są tego samego zdania! Pan Lam np. sądzi inaczej, o czem szanowni czytelnicy *Prawdy* wiedzą już zapewne z telegramów, a przynajmniej z fejletonu *Kuryera porannego*. Byłbym wogóle niepocieszony, gdyby porażka, jaką mi zadał fejletonista *Gazety* naszej urzędowej, nie zwróciła na siebie uwagi szerszego ogółu. A przecież zasługuje ona na to, z tego chociażby względu, że ja, człek „niepiśmienny, nieumiejący nawet czytać," potykam

---

Dozorca schylił się nad odlewem ślusarzowym, żeby się mu z bliska przyjrzeć.

— Tak... udało ci się! Ale zobacz no ją lepiej! Powiesz mi wtedy, piasta to, czy przetak?...

— Przetak?... Nierozumiem... — bąknął Łukasz.

— Obejrzyj lepiej, to zrozumiesz.

Porwał ślusarz piastę i przybliżył ją do okienka, bo miał krótki wzrok. O zgrozo! Cała była pokryta dziureczkami!

— He, he, rychtyk jak te żużle miedziane, co panicze bawiąc się wykopują na pogorzelisku starej smolarni — zaryczał basem Ihnat, furman dozorcy.

— A bodaj cię cholera, obijboku jakiś!... — krzyknął ślusarz na Ihnata i to takim głosem, jaki wydaje basetla, gdy nieumiejętna ręka smykiem po jej strunach powiedzie.

— A mówiłem ci — rzekł uroczystym głosem dozorca — jak Bóg pomoże — odlejesz, nie pomoże — nic nie będzie. Powiedziałeś, że sam sobie dasz radę, ot i masz!

Odpowiedzią Łukasza na to był dziwny wyraz twarzy. Z oczu wyglądało coś, co się zdawało mówić: „Ratuj mię! Panie, zgrzeszyłem."

Głowa tak mu zwisła, a na twarzy ból łamał się z przygnębieniem.

Rozrzewniający dramat rozgrywać się musiał w jego sercu. Biedny ślusarz podciągnął w górę, potem opuścił i równocześnie z tem rozległo się sapnięcie przeciągłe a bolesne. Dosłyszeć można było w tem sapnięciu jakiś wykrzyknik rozpaczy: „a... ha!" Machnął ręką i mruknąwszy „taka dola gorzka," wyszedł z kuźni. Gdyby mu przyszło odpowiadać na pytania, musiałby jeszcze mocniej machać ręką; smutek bowiem ścisnął mu gardło, nie chciał przepuścić ani słowa, tylko jakoś często kazał śline połykać.

Powlekł się przybity aż nad sadzawkę, przy której stał płot, u za płotem smuga trawy sochą oszczędzonej. Położył się i usnął.

Spał tak długo, aż cień z za płotu umknął, a jego miejsce słońce zastąpiło. Grzało mu twarz znękaną. Rechtanie żab umilkło, zagrzmiało echo urywanego łoskotu kijanki uderzanej o kładkę.

W ucho Łukasza wpadł jakiś potwornie olbrzymi szept: „A czemuś piasku nie palił?" Zerwał się na równe nogi.

* *
*

— Jakiż ja głupi! — mówił do siebie, siedząc w tej samej izbie przy kuźni, gdzieśmy go w dzień przyjazdu pana dziedzica widzieli. Na zedlu dymił się krupnik z garnka, a on łykał tę strawę i powtarzał do siebie — jakiż ja głupi! Dotąd nie przyszło mi na myśl, co za dyabeł swem szydłem tak mi piastę podziurawił? A to poprostu nie umiałem formy przygotować, jak się należy. Trzeba było zrobić ją z piasku, nie z gliny — piasek przesiać porządnie, pokropić wodą... Ale to nic jeszcze... Pokropić wodą!... I głupi to umie! Zrobiwszy formę, dobrze ją wysuszyć... Ot gdzie sęk! A bodajże cię! I nie przypomnieć sobie tak prostej rzeczy! Gdyby nie to widzenie, com dziś we śnie miał, kto wie, czybym wpadł na tę myśl?... No, no — głowa!... A, ty...

I wetknął swe ręce w hajdawery zasmolone i połyskliwe. Jął po izbie chodzić szerokimi krokami, po wojskowemu jakoś wyrzucając nogi. Wióry, których tam było pełno, czepiały mu się spodni i za każdem energicznem jego stąpnięciem podskakiwały w powietrze.

(D. n.).

się z takim, jak p. Lam Goliatem pióra. Nie o mnie tu zresztą samego chodzi — inaczej anibym może nie zaprzątał uwagi waszej.

Zarzuciłem na wstępie brak rycerskości lwowskiemu humoryście. Bardzo już dawno musiał on ją postradać, skutkiem czego zapewne cierpi obecnie na newralgię. Zazdroszcząc jednak młodszym, pomawia ich o mormonizm i inne występki z §§ 6 i 11 kodeksu mojżeszowego. Jest to skonstatowaną właściwością wszystkich starców, którym na nieszczęście „pociąg jeszcze został, ale lokomotywa wystygła już dawno...“ Stąd łatwo zrozumiała irytacya i żal z powodu pięćdziesięciu przyjaciółek, które pozyskałem... wprawdzie tylko dla *Świtu*. Nastraja mię to na rzewną nutę i niewiele brakuje, abym zapłakał serdecznie — nie nad wygasłą lokomotywą p. Lama, ale nad *Świtem*, czy „zmierzchem,“ jak go nazywają przeciwnicy uwłaszczenia kobiet.

O, ty biedny, nieszczęśliwy *Świcie*! Dziecię nieprawe interesu i idei, przeklinasz już zapewne swego rodzica-wydawcę i matkę-redaktorkę, złorzecząc całemu rodzajowi pozytywistów. Bo i na cóż ci się zdało otrąbienie pobudki, wzywającej kapłanki p. Lama do kołyski twojej, kiedy ja, przyjaciel twój, sprowadzam ci pięćdziesiąt samych „nie-kapłanek,“ jak się nasz humorysta w rękawiczkach wyraża. Wprawdzie z jednej Magdaleny święci pańscy większą mają uciechę, aniżeli z dziewięćdziesięciu dziewięciu westalek, czytujących krotochwilne „Kroniki lwowskie“ — cóż, kiedy p. Lam wzbroniłby i Chrystusowi obcować z nieprawowiernemi niewiastami, a nie dopiero *Świtowi* oddziaływać na nie, albo mnie między niemi apostołować... Weźże to sobie *Świcie* na uwagę i z księgi prenumeraty wymaż wszystkie dotychczasowe abonentki, które według słów lwowsko-humorystycznej ewangelii — o, p. Lam jest zawsze dla dam uprzejmy! — „w nic więcej nie wierzą, jak tylko w kwas karbolowy i odwanianie kloak.“

Jak widzicie, dowcip tutejszy miewa czasami woń bardzo silną, chociaż innej siły dojrzeć w nim niezawsze łatwo. Nie o to mi zresztą idzie. Ja „nie umiem czytać“ nawet, to też chcę jedynie wyzyskać rycerskość p. Lama, widoczną i w tem, że nie czytując *Prawdy*, czyni jej takie zarzuty, które ciska się ludziom w oczy dopiero wtedy, gdy się ich już poznało dokładnie. „*Prawda* z zasady napada na ludzi i z zasady następnie odmawia im wszelkiego zadośćuczynienia.“ Z zasady, czy nie z zasady — na to odpowiedź znajdzie się zapewne w *Liberum veto*, ja tylko odeprę zarzut, jakobym strzelał „z poza płota.“ Chcecie wiedzieć, jaka to była zasadzka? Oto ponieważ p. Lam „z zasady stroni od *Prawdy*,“ i dalekim jest od niej, posłałem mu umyślnie numer z dotyczącą jego osoby korespondencyą, przyczem nadmienić muszę, że wiedział bardzo dobrze, kto jest jej autorem. Skorzystał nawet z tego w swej „Kronice,“ parafrazując mój pseudonim, przyczem opowiedział napak zasłyszaną gdzieś legendę, zapominając widocznie, że bajkopisarstwo nie jest jeszcze humorystyką.

Że Bóg miesza czasami ludziom rozum, mam tego najlepszy dowód na dyrektorze tutejszej Kasy zaliczkowej, p. Pilarskim, który pozostawiwszy kasę w możliwym porządku, czmychnął gdzieś, niewiadomo dokąd. Wprawdzie śledztwo wykryło potem, że coś tam w księgach skrobano przez lat kilkanaście i przeskrobano w ten sposób około 40,000 złr., w każdym jednakże razie nie mogę pojąć, jak można studyować przedmiot powien lat piętnaście i nie wykształcić się należycie w swoim fachu. Do licha, gdybym się tak długi czas kierował na złodzieja, nie uciekałbym chyba, zostawiając zegarek i kosztowności w szufladzie biurka, jak to uczynił p. Pilarski.

Gdzie się podział niesumienny dyrektor, dotychczas nie wiadomo. Co zaś do Kasy zaliczkowej, tyle jest pewnem, że do bankructwa nie przyjdzie. Zastąpi je spokojna likwidacya, być może nawet, że instytucya zostanie utrzymaną, chociaż, gdyby upadła, niktby ją podobno nie żałował, zwłaszcza chłopi, z których łupiła skórę, podobnie jak Bank włościański.

Szafowanie groszem publicznym i obracanie go na własne potrzeby staje się u nas formalnie zwyczajem narodowym. Włosy na głowie stają, gdy słuchasz opowiadań o tem, co się dzieje, czego jednak ręka sprawiedliwości dosięgnąć nie jest w stanie. Takie stosunki istnieją np. w fundacyi hr. Skarbka. Długi szereg lat rządził się tam, jak szara gęś, dyrektor Kövesz, „znany łapownik i kubaniarz,“ jak go publicznie w każdym numerze *Strażnicy polskiej* nazywał Gniewosz — i cóż powiecie na to, że mimo dowiedzionej litanii nadużyć książę Jabłonowski, kurator fundacyi, chciał go jeszcze zatrzymać na zajmowanej posadzie. Dopiero namiętne wystąpienie *Kuryera lwowskiego* sprawiło, że Kövesza napędzono, chociaż przed kratki sądowe nie pociągnięto.

Na zakończenie wiadomość z innej sfery. Koło literackie we Lwowie urządza II-gi zjazd literacko-artystyczny, zapowiadając go na wrzesień. Czy po dosyć chybionej próbie w Krakowie drugi wypadnie lepiej, orzec dziś trudno, bo przedewszystkiem program zjazdu nie jest jeszcze znany.

Rewera.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 20 maja.

Echa wiecowe. — Ks. Sarnicki i geneza reformy Bazylianów. — „Bunty“ w Tarnopolu i Kopeczyńcach. — Kolonizacya mazurów na Rusi. — Z dziedziny literatury

Drugi już tydzień minął od ostatniego wiecu rusinów galicyjskich, a fale przezeń wzburzone dotychczas jeszcze się nie uspokoiły. Nie myślę tutaj podawać wam dokładnego sprawozdania z tego wiecu. Program jego był zanadto ciasny, by obrady nad nim mogły przedstawiać szerszy społeczno-polityczny interes. Zresztą interes ten jeżeli był, to leżał nie w referatach mówców (prof. Anatola Wachnianina i młodego doktora praw Korola), ile raczej w ogólnym nastroju i nieprotokołowanych okrzykach słuchaczów. Zresztą sam przedmiot zgromadzenia—najście jezuitów na monastery bazyliańskie — był sprawą bardzo drażliwą i wymagającą od referentów wielkiego poczucia taktu politycznego. Bo cóż mogło pobudzić reżyserów wiecu, ludzi świeckich, i to prawie wyłącznie świeckich (duchowieństwo z powodów łatwych do zrozumienia nie wzięło udziału) do narady nad sprawą przeważnie kościelną? Oczywiście to jedynie, by czysto ze stanowiska *świeckiego*, a więc *społecznego i politycznego* zaprotestować przeciw pogwałceniu autonomii gr. kat. kościoła jako jednej z instytucyj narodowych rusińskich i przeciw konfiskacie dóbr i kapitałów klasztornych również rusińskich na rzecz zakonu obcego i Rusi wrogiego. Chodziło więc o to, żeby wiec z jednej strony odnowił tradycyę historyczną wyznania wschodniego i specyalnie ruskiego, które w rzeczach kościoła dopuszcza wszystkich wiernych do głosu; ale z drugiej strony, żeby, jasno zaznaczając stanowisko społeczno-polityczne, z jakiego tę sprawę traktuje, nie dał rusińskiej opinii publicznej zejść na spadzistą pochyłość religijno - dogmatycznych waśni. Z żalem wyznać muszę, że tego taktu nie było u żadnego z mówców wiecowych; przeciwnie, referat p. Korola wyglą-da tak, jak gdyby był napisany przez jakiegoś profesora dogmatyki, a nie przez świeckiego prawnika, referat zaś prof. Wachnianina, w którym tenże przedstawił dotychczasową historyę i działalność jezuitów, chociaż nierównie od niego sympatyczniejszy, mimo to pozbawiony jest głębszej przewodniej myśli politycznej. Nie bez słuszności więc podniósł *Czas* krakowski niekompetencyę zgromadzenia świeckiego do wyrokowania o sprawach kościelnych; zarzutu tego nie osłabiły wywody dzienników rusińskich (specyalnie *Nowego Prołomu*) o synodalnym charakterze cerkwi wschodniej, która pierwotnie nawet w rzeczach wiary dawała głos wszystkim wiernym. Tak, lecz nigdy nie dawała go wiernym świeckim samym z wyłączeniem duchowieństwa, daleko częściej zaś działo się wręcz przeciwnie.

Z tych oto powodów w niedawnym wiecu rusińskim widzimy zasadniczy błąd, który nietylko redukuje jego narodową i społeczną doniosłość do bardzo skromnych rozmiarów, lecz bodajby nie stał się źródłem dalszych, cięższych błędów w rozwoju narodowego życia rusinów galicyjskich. Miejmy nadzieję, że memoryał, który na podstawie przyjętej uchwały wiecowej ma być wypracowany i sferom rządzącym w Wiedniu i w Watykanie przedstawiony, choć w części zdoła uchronić się od tego błędu i wprowadzi sprawę na jej właściwe tory.

Daleko ciekawszymi od samej treści referatów wiecowych były objawy żywego zainteresowania się sprawami publicznemi śród rusińskich chłopów, uczestników wiecu. Objawy te, istotnie bardzo pocieszające, dały powód niektórym miejscowym i zagranicznym dziennikom polskim do bardzo poważnych rozmyślań nad obecnym stanem t. z. „kwestyi ruskiej“ w Galicyi. *Kuryer lwowski* poświęcił jej trzy artykuły wstępne, napisane bardzo serdecznie i bardzo rozumnie. Porównywając inteligencyę ruską z polską (głównie szlachtą), wypowiada zdania bardzo niepochlebne dla tej ostatniej, zarzuca jej brak zajęcia się sprawami publicznemi, literaturą i oświatą nie już ludu, ale i swoją własną. Lecz odsyłając ciekawych tej rzeczy czytelników do własnych słów *Kuryera lwowskiego*, powtórzonych w głównym zarysie w *Kuryerze warszawskim*, chciałbym natomiast kilku słowami scharakteryzować osobistość, która była główną sprężyną całego tego „bólu bazyliańsko-jezuickiego“ i na którą też podczas wiecu gęste sypały się strzały. Mam tu na myśli ks. Klemensa Sarnickiego, dra teologii i profesora na teologicznym wydziale uniwersytetu lwowskiego, obecnie zaś już protoihumena zakonu bazyliańskiego. Jeżeli powieść o tym uczonym księdzu i bazylianinie treścią swoją przypomni wam nieco nowele w stylu *Dekamerona*, to nie moja w tem wina — fakty mówią. Jest to już dziś jawną tajemnicą, że ks. Sarnicki od kilku lat utrzymuje bardzo poufny miłosny stosunek z niejaką Bronią D., z którą doczekał się już dwojga czy trojga potomstwa. Jakkolwiekbądź byśmy zapatrywali się na tę „ludzką słabość,“ wszakże to, co dalej następuje, przekracza już jej granice. Ks. Sarnicki, według reguły zakonnej niemogący posiadać żadnych własnych funduszów, a pragnąc swojej przyjaciółce i jej pociechom zapewnić przyszłość, systematycznie nadużywa swego wysokiego stanowiska, wyzyskując na jej korzyść dobra monasteru lwowskiego i nakładając pewnego rodzaju kontrybucye pieniężne na inne klasztory, niby to na opędzenie kosztów wizytacyi, chociaż ich nigdy nie odbywa. Między innemi wydzierżawił należący do monasteru lwowskiego folwark w wiosce Derewaczu szwagrowi Broni za cenę śmiesznie niską, dla niej samej zanajął domek w wiosce Rzęsnej koło Lwowa, gdzie w jej towarzystwie przepędza wszystek czas wolny od zajęć uniwersyteckich, tak, że słuchacze wydziału teologicznego kilkakrotnie zmuszeni byli dla poświadcze-

nia matrykuł odbywać pielgrzymki ze Lwowa aż do tego błogosławionego ustronia ks. Sarnickiego. Przed kilku laty kupił on dla swojej bogini domek we Lwowie za dość znaczną sumę; ponieważ atoli jako zakonnik nie mógł tej tranzakcyi robić własnem imieniem, więc użył w tym celu jednego lwowskiego obywatela, znanego ze swych ultramontańskich przekonań. Ale pobożny obywatel, gdy wszystko było skończone i dom na jego imię w księgach hypotecznych wpisany, odmówił wręcz ks. Sarnickiemu wszelkiego prawa do tej realności i odesłał go z jego możliwemi pretensyami na drogę sądową; wiedział bowiem dobrze, że ks. Sarnicki, naprzód nie posiadając żadnych dowodów, powtóre jako zakonnik, nie mając nawet żadnego prawa do nabywania nieruchomości na własną rękę, uczynić tego nie może. Jak się skończyła ta oryginalna historya — nie wiemy, dość, że obecnie ks. Sarnicki z owym obywatelem znowu na dobrej pozostaje stopie, a więc oczywiście spór jakoś pogrzebano.

Jakkolwiek wstrętnemi są dla mnie te prywatne sprawy księdza protoihumena, musiałem jednakowoż dotknąć ich, gdyż są one źródłem obecnej bazyliańsko-jezuickiej burzy. Gdy bowiem w r. ponoś 1880 były metropolita Józef Sembratowicz, jako najwyższy zwierzchnik zakonu Bazylianów kazał przedstawić sobie rachunki monasteru lwowskiego i sprawozdanie o stanie innych, pokazały się we wszystkiem takie nieporządki, zaniedbania i luki, że niczego dojść nie było można; co więcej, właśnie wskutek gorszącego przykładu z góry pokazało się w całym zakonie takie rozluźnienie karności, że w istocie potrzeba było człowieka energicznego i pełnego poświęcenia, by wprowadzić należyty ład w całej instytucyi. Wykrywszy to i doskonale widząc we wszystkiem wielką winę protoihumena, metropolita napisał dokładną relacyę do Rzymu i—zaczął czekać, co stamtąd przyjdzie, zamiast zawiesić winnego w sprawowaniu obowiązków. Lecz i protoihumen nie drzemał: bojąc się utraty nietylko swego stanowiska, ale i katedry w uniwersytecie, napisał i od siebie do Rzymu relacyę, w której maskując swoje grzechy, upraszał papieża o reformę zakonu bazyliańskiego. Że ten ostatni zwrot musiał się podobać otaczającym papieża i czyhającym na zdobycze po całym świecie jezuitom — tego i dowodzić nie potrzeba. Jakoż ks. Sarnicki po upływie peryodu jego zwierzchnictwa został przez papieża już bez pytania o wolę zakonu powtórnie zatwierdzony na temże stanowisku na dalszych 6 lat.

Gdy więc w Rzymie postanowiono zreformować Bazylianów, wysłano w tym względzie zapytanie do metropolity. Ten słabego umysłu i jeszcze słabszej woli człowiek przez czas jakiś probował stawić opór, gdy nagle wyszła na jaw znana sprawa Hniliczek i aresztowanie kilku ruskich prowodyrów. Chociaż sprawa ta z Bazylianami żadnego związku nie miała, mimo to użyto jej jako dźwigni dla wywarcia nacisku na metropolitę i dla uzyskania jego zgody. Na tyle jednak ostrożną była Kurya rzymska, że w ciągu przedwstępnych układów nikt ani wspomniał o jezuitach. Dopiero gdy metropolita w zasadzie przystał, wydano w Rzymie bullę papieską, w której reforma, zupełnie nieprawnie i bez zezwolenia miejscowych zwierzchników kościelnych, została poruczona jezuitom. Bulla ta długiego czasu potrzebowała, by dojść z Rzymu do Lwowa, a w paryskiej *Revue Catholique* była ona wydrukowaną o dwa tygodnie wcześniej, niż lwowska hierarchia została o niej przez nuncyaturę wiedeńską urzędowo powiadomioną. Tą drogą chciano wybadać niejako opinię kleru rusińskiego, gdyż wielu wyższym duchownym we Lwowie zostały odnośne zeszyty tego pisma przysłane z Francyi, pomimo iż nigdy go nie prenumerowali.

Bulla zrobiła na wszystkich rusinów, duchownych i świeckich, fatalne wrażenie. Prasa rusińska jednomyślnie przeciw niej zaprotestowała, monastery bazyliańskie również zaczęły myśleć o wystąpieniu i zbierać podpisy, lecz protoihumen władzą swą zamknął im usta. Monaster dobromilski i nowicyat bazyliański oddany został w ręce jezuitów. Oto jest w krótkości opowiedziana geneza tej osławionej reformy bazyliańskiej — to jest ta sprawa, z którą galicyjsko-polskie czasopisma nie mogą sobie dać rady, chwiejąc się ze swymi sądami i wyrokami to przeciw jezuitom, to przeciw rusinom, lecz nigdy nie mogąc zdobyć się na tyle cywilnej odwagi, by śmiało i otwarcie wystąpić wspólnie w obronie prawdy.

Ziemia wschodnio-galicyjska była ostatnimi czasy widownią dwóch „buntów," które zakończyły się krwawo, pomimo iż w żadnym wypadku rokoszanie nie okazywali krwiożerczych zamiarów. Oba te bunty wybuchły na błogosławionej ziemi podolskiej, a mianowicie jeden z nich w Tarnopolu a drugi w maleńkiem miasteczku Kopyczyńcach. Rozruch tarnopolski, przezwany przez lwowskich humorystów „wojną błotną," powstał był z tej przyczyny, że tamtejsi żydzi nie chcieli uprzątywać błota z ulic swego grodu, a gdy rada miejska wezwała ich do wykonywania prestacyj drogowych, rzucili się na burmistrza, który uciekł do gmachu sądowego, gdzie był około dwu godzin trzymany w oblężeniu śród rzęsistej kanonady kamieni ku oknom budynku. Wreszcie przybywający żandarmi zawezwali tłum do rozejścia się, a gdy to nie nastąpiło, dali ognia, przyczem jeden chłopak został śmiertelnie, a kilku lekko rannych. Epilogiem tej wojny były liczne aresztowania buntowników i wytoczone przeciw nim śledztwo sądowe.

Nierównie więcej tragicznej grozy mieści w sobie „bunt" Kopyczyniecki, który tutaj powszechne wywołał oburzenie. Jest to jeszcze jeden z zapóźnionych objawów walki o serwituty, która od 1848 r. jak krwawa zmora trapi nasz kraj, nie dając uspokoić się rozdrażnionym nerwom. Dnia 10 maja zarządca skarbu Kopyczyńskiego wspólnie z burmistrzem tegoż miasteczka Turczaniewiczem przekopali i zagrodzili drogę prowadzącą przez pastwisko gminne, niewiadomo z jakiej przyczyny. Gdy następnego dnia w niedzielę mieszczanie Kopyczynieccy zaczęli z tego powodu robić rządcy wyrzuty, ten usprawiedliwiał się i rzekł im wreszcie: idźcie i rozgrodźcie. Mieszczanie rzeczywiście natychmiast rozgrodzili drogę. Po południu, jak zwykle w niedzielę, zebrali się ludzie na rynku. Spotkawszy tutaj burmistrza zaczęli go również strofować za odstąpienie dworowi drogi gminnej. Burmistrz Turczaniewicz zażądał, ażeby żandarmi aresztowali zuchwałych śmiałków. Ci usłuchali wezwania i przybyli na rynek. Ludzie zaczęli się tłomaczyć, że oni sobie spokojnie stoją, lecz to nie pomagało. Żandarmi podeszli z kajdanami do jednego mieszczanina i kazali mu dać się zakuć. Mieszczanin podał ręce do żelaz. Wtedy reszta obecnych odezwała się: „Kiedy jego bierzecie, to bierzcie i nas wszystkich, bo i myśmy tak samo gadali!" Z temi słowy ruszyli za zakutym towarzyszem. Ci zawezwali mieszczan, by się rozchodzili, gdy to atoli nie poskutkowało, żandarmi odstąpili trzy kroki w tył i strzelili w kupę ludzi na środku miasta. Czterej mieszczanie padli, trafieni bądź to w piersi, bądź w głowę. Po salwach żandarmi spokojnie odeszli do miejscowego sędziego, pozostawiwszy ofiary na miejscu — i już się więcej nie pokazywali. Nie wzięli ze sobą nawet okutego, który również poszedł do domu. Mieszczanie osłupieli: jedni stali na miejscu, inni zaczęli uciekać. Ranni leżeli bez ratunku, brocząc we krwi. Dopiero przybyły lac. wikary ks. Kubaszek ocucił ich z osłupienia i zachęcił do ratowania nieszczęśliwych, z których jeden umarł na miejscu, trzej śmiertelnie chorzy a jeden ma nadzieję wyzdrowienia. Nie dodaję komentarza do tego okropnego i oburzającego faktu — nadmienię tylko, że wszystkie polskie gazety powtórzyły bajeczkę urzędowej *Gaz. lwowskiej* o „buncie drogowym" w Kopeczyńcach, w którym „żandarmerya była zmuszona (?!) użyć palnej broni i sprowadzono wojsko z Czortkowa i Trembowli." Jedno tylko *Diło* ze wszystkich galicyjskich gazet podało dokładną wiadomość o zajściu; lecz o tej wiadomości wszystkie tutejsze dzienniki milczą jak zaklęte. Myślą zapewne, że przemilczenie prawdy lub podawanie fałszywych plotek wpłynie uspokajająco na rozdrażnione umysły.

Ten sam numer *Diła* przyniósł w odcinku zbiorek udatnych poezyj dwu młodych rusińskich poetek, Julii Sz. i Klemencyi P. Podałem już króciutką charakterystykę pierwszej z tych autorek w jednej z poprzednich moich korespondencyj. W niniejszym zbiorku obok ślicznych piosnek w guście romantycznym spotykamy bardzo pocieszający zwrot do realizmu i tonu ludowego. Dla próby podaję tutaj dosłowne tłomaczenie dwu utworów.

Biedna. „Wstała rano, zasmuciła się: gorzka moja dola! Wzięłabym się do pracy, lecz nie mam pola. Oto niwa, pokryta złotymi kłosami, lecz los nieszczęsny nie dał mi sierpa. Na cudzej niwie i bez sierpa — nie mam czem żyć — zacznę chyba zbierać pogubione kłoski. Już bujne niwy pokryły się ciężkimi snopami, a żniwiarze, śpiewając, z wiankami powracają do domu. Ponieśli wianki do chaty; ja zaś zostałam za bramą; oni będą weselić się po pracy—ja zaś łzami się obmyję.

Tak śpiewa Julia Sz. A oto piosnka jej towarzyszki:

„Wiosna! Dokoła blaskiem maju śmieje się przyroda. Patrz, oto dziewczyna, jak kwiatek polny wabi wdziękami i oko weseli. Słychać, jak bije tętno przyrody, faluje życiem i miłością; krew tak rozkosznie w serce spływa, jak rosa lub deszcz wiośniany. Wszystko odżyło: łąka i dąbrowa, ptaszki świegocą na gałązce—wszystko tak jasne, nowe — ach, chce się żyć i kochać! Oto tam ich dwoje — połączeni ustami — uczucia serdeczne rozbudziły się razem z majowem powietrzem; on jej szepcze nieskończone zaklęcia. „O luba, niechaj chwilka ta trwa całe wieki, niechaj nie więdnie w skwarze słonecznym i nie usycha w spiekocie letniej!" A tam znowu słychać: „Lato, ach, lato! Prędko więdnijcie, kwiaty! Byleby prędzej dojrzało falujące żyto — byleby prędzej chleba się doczekać! Niechaj syty szuka miłosnych igraszek—głodny wiosnę przeklina! Nie nęci tego miłość, nie weseli maj, kto wiecznie musi walczyć z nędzą i głodem."

Myślę, że czytelnicy przyznają słuszność redakcyi *Diła*, która, witając młode pracowniczki na polu rusińskiej literatury, wyraża pragnienie, „by stały się temi jaskółkami, które wróżą nową wiosnę—przebudzenie umysłowe rusińskich kobiet do pełnej świadomości swych praw i obowiązków narodowych i człowieczych i swego wysokiego powołania dla całej naszej przyszłości.

Myron.

P R O L O G.

Nie wiem, z jakiej tam przyczyny,
Lecz mam na to pewne dane,
Że jej na świat narodziny
Nie były zbyt pożądane.
Ojciec stał jak zawstydzony,
Przez twarz matki przeszła chmurka,
Gdy akuszer doświadczony,
Wziąwszy dziecię, wyrzekł: *córka!*

Rodziców skwaszona mina
Nie witała ją radośnie;
Im się gwałtem chciało syna.
— Córka?.. szkoda!.. ha, niech rośnie!..
Mruknął mąż z niechęcią w oku —
— Nabierz mężu rezygnacyi —
Cieszy żona — w przyszłym roku
Pan Bóg synem nam odpłaci.“
Rośnie córka... Już dwa lata
Wkrótce skończy ta pieszczotka.
Już wymawia: *mama, tata* —
I szczebioce jak czeczotka.
A miłaż-bo ta pociecha!
A śliczna jak cherubinek!
Jak się patrzy!... jak uśmiecha!...
Ile figlów!.. ile minek!..
W trzecim roku mama loczki
Jej zawija u lusterka,
Ucząc: „Zosiu, zrób tak oczki!“
Zosiunia figlarnie zerka —
W piątym roku już jej kładnie
Program nauk bardziej seryo:
— *Sophie! faites révérence* ładnie!
Zosia dyga z kokieteryą...
Dalej—jak wypada z planu
Pedagogii drogiej mamy —
Siada już do fortepianu
I codziennie bębni gammy.
Przytem uczą ją starannie
Paryskim mówić akcentem:
Dobrze wychowanej pannie
Jest to pierwszem... jest to świętem!..
Później to, co umysł młody
Uszlachetni — umoralni:
Więc studya z dziedziny *Mody*
I z tajemnic gotowalni...
Otóż sobie wyobraźcie.
Jakim trybem Zosia miła,
Nim skończyła lat piętnaście,
Już *skończoną panną* była.
Tata z mamą z kąta sali
Spoglądają na córunię;
— Jaka śliczna!—mama chwali —
Jak wspaniale *trenem* sunie!
Czyż nieprawda?... „jak królowa!..“
Na co z ust wybiega papie,
— Szyk dziewczyna!.. ani słowa!
Lecz... czy męża sobie złapie?..
Bez posagu... trudna rada...
— Ja nie troszczę się w tym względzie —
Małżonka mu odpowiada —
Jestem pewna, że mąż będzie,
Bo znam dobrze moją córkę,
Wierzę w spryt jej i talenta...
Ty spójrz, jaką ma figurkę!
Zgrabna, wiotka—jak wycięta!
Jaki układ—wdzięk—maniery—
Jak zalotnie oczka zwęża!..
Słowem jak dwa a dwa—cztery,
Niezawodnie złapie męża...

EPILOG.

Obudził mię szelest... Szła pośród szpalerów,
Gdziem siedział samotny na ławce,
A za nią brzęczący biegł rój oficerów,
Niby za sarną legawce.
Brwi miała czernione, twarz biała jak w mące,
Rumieńce i usta jak ćwikła...
Błysnęło spojrzenie jej wyzywające,
Przemknęła, szeleszcząc, i znikła.
I został mi po niej w powietrzu pas woni
Paczuli i innych zapachów;
A zdala śmiech srebrny szedł ku mej ustroni
I rybot rubaszny jej gachów.
Frunęła, wionęła, jak polot wietrzyka
I pierzchła jak senne widziadła...
A jednak jej postać z mej myśli nie znika
I goryczą mi serce zapadła...
Ot widzę przed sobą dziewicę tę lacką
Jak z *mody* obrazek wycięty:
Bufiasto, strzępiasto, a śmiesznie, cudacko
Ubraną od głowy do pięty.
I wietrzna jak motyl, i płocha i pusta
Sukienką swą szasta, szeleści,
Zalotny uśmieszek roztula jej usta,
A twarz jak u lalki—bez treści.
Ćma wstążek, kokardek, falbanek, pstrych szmatek,
Tiurniura co podziw obudza,
Okryły te dziewczę — ten naszych pól kwiatek,
Ach! czemuż ty nasza—nie cudza?
Czy choć raz poważna na twojem myśl czole
Spoczęła, o biedna istoto?
Czy znane ci smutki, pragnienia i bole
Co pierś społeczeństwa dziś gniotą?
Czy, wdzięcząc się swemu w zwierciadle odbiciu,
Spytałaś choć jeden raz przecie:
—„Kto jestem, i jakie zadanie mam w życiu,
I jaką gram rolę na świecie?“
— Kto jesteś? — Dla mężczyzn — zmysłowa podnieta,
Aniołem cię zowią dla lica,
Lecz ty ani anioł, ni nawet kobieta,
Ty jesteś po prostu — samica!
I tylko do tego podąża i celi
Myśl twa i twych wdzięków przynęta:
Mieć męża — i rodzić... nie obywateli
Ty będziesz nam płodzić — ....!
Ach! żal mi — nie ciebie wyrodku sarmatek —
Ja nad tym narodem boleję,
Co składa do łona takich jak ty matek
Swych przyszłych pokoleń nadzieję.

Włodzimierz Wysocki.

LIBERUM VETO.

Co zaśpiewała pani Zimayer przeciw jednemu z pism.— Przerażające napomnienia. — Abdykacya z urzędu fejletonisty. — P. Grabowski skalpujący p. Byczkowskiego i Gajslera. — Przygoda z „ometrą.“ — Korepetytor przyzwoitości z *Biesiady literackiej*. — Marcinowa i autorowie *Wiązanki*. — Szczera myśl i czkawka. — Bezwrażliwość na własne obelgi. — Krótka pamięć Lama i jego hełm rycerski. — Inwentarz zrujnowanego talentu. — Odgrzewane koncepty.— Głowa do pozłoty.

Trzymam piorun w ręce, ale zanim go cisnę na panią Zimayer, muszę wiedzieć, co ta niewiasta zaśpiewała w teatrze przeciwko „jednemu z pism codziennych.“ Najgłębiej oburzony *Kuryer warszawski* napomyka, że „pozwoliła sobie zaimprowizowanej, karczemnej piosenki,“ że przed odjazdem do Berlina, pożegnała się z Warszawą „w języku piwnej knajpy“ lub — co kto woli — „straganu za Żelazną Bramą.“ Ale co to było? „Domyśleć się można — dodaje również tajemniczo *Gazeta polska* — jak zabrzmiały w tej buzi, która najdelikatniejszym zwrotom potrafi nadać cechę trywialności, słowa z natury swej tak ordynarne, iż tylko *prawdziwej szewcowej* z Podwala możnaby je wybaczyć. Na miłosierdzie boskie, o „sylfy redakcyjne,“ nie dręczcie narodu daremną ciekawością i powiedzcie raz, czego pozwoliła sobie pani Zimayer i przeciw któremu z pism codziennych! Albo przynajmniej — jeśli od całej prawdy wstrzęsłyby się posady naszego bytu — objaśnijcie, czy owo „jedno z pism“ upomniało się za swą krzywdę, czy też pogardliwie milczy? Moi czytelnicy, wystąpcie z żądaniem do redakcyi *Prawdy*, ażeby wynalazła sobie innego fejletonistę i usunęła mnie, który tak dalece jestem nieobeznany z najważniejszemi kwestyami dnia, że nie umiem wam donieść, co zaśpiewała pani Zimayer. Czuję wstyd, wstyd rzetelny. Wszystkie żywe ostrokoły, otaczające szereg stolików z butelkami u Boqueta lub Stępkowskiego, nucą sobie może kuplet, którego ja nawet nie odgaduję, a każdy „sylf redakcyjny“ spogląda na mnie lekceważąco i woła: Boże, jak jesteś wspaniałomyślny, kiedy i jemu żyć pozwalasz! Pomimo to ja nie wiem, co pani Zimayer zaśpiewała.

Nie dość tego! Ja nie wiem, czem naprzód p. Byczkowski, a następnie p. Gajsler obrazili p. Br. Grabowskiego, których w *Kuryerze codziennym* gniewnie oskalpował. P. Byczkowski w przedmowie do *Sposobu nauczenia się po czesku* napisał, że u nas w Królestwie dwaj tylko literaci obznajamiają nasze społeczeństwo z życiem umysłowem czechów: pp. Grabowski i Miriam — „lecz p. Grabowski nie może zbyt wiele czasu poświęcać literaturze czeskiej, gdyż zajmuje się także chorwacką i słowieńską.“ Ponieważ do tej strasznej obelgi p. Gajsler w *Gazecie polskiej* dodał, że p. Grabowski miał poprzedników a przytem westchnął: „nie wieleśmy w stosunku do dawniejszych pisarzy w tym przedmiocie zrobili, lubo sami sobie dzisiaj chlubę stąd przypisujemy,“ więc sprawiedliwie oburzony p. G. skarcił „niedowarzone elukubracye“ i odkopnął „kąsanie po piętach.“ I jak tu nie wierzyć anegdocie, opowiadającej, że jakiś naiwny chłopek zaskarżył oszczercę, który go nazwał „ometrą?“ Jeśli obelgą jest rzecz: jeden z dwu pracowników literackich—to dlaczegóż nie miałby nią być tytuł geometry lub przeora? Gdyby wszakże kto kiedykolwiek wątpił o talencie p. Grabowskiego, będzie miał skrzywdzony pisarz doskonałą obronę w tem, że niewątpliwie należy do *irritabile genus*. Tego mu nie zaprzeczy ani p. Byczkowski, ani p. Gajsler.

Jeśli zaś jest „ładnie“ podobnym tonem odkrzykiwać na niewinne uwagi, to co odpowiedzieć winni autorowie *Wiązanki prac literackich*, o których nasz własny, patentowany korepetytor przyzwoitości z *Biesiady literackiej* tak mówi: „Nie chcemy powtarzać nazwisk młodych autorów, którzy *zbłądziwszy* raz, jeszcze mają czas wyprządz się z wozu *zabarłożonego*... Marcinowa, co *mleko fałszuje*, jest *chodzącą zacnością* obok wydawców *Wiązanki*.“ Gdzieś już raz te słowa czytałem... A! Czytałem je w sprawozdaniach posiedzeń sądu, który karał małoletnich przestępców, obok których „Marcinowa, co mleko fałszuje, jest chodzącą zacnością.“ I jakąż to zbrodnię popełnili młodzi autorowie, których nazwiska, mniej dla nich czując litości, wyjawiam: pp. K. Sękowski. Miriam, A. Chomiński i Roman Lech? Napisali *wiązankę* wierszów rymowanych i utworów prozą, zdradzających często niedostateczne wyrobienie pisarskie, ale przewyższających formą milion kantat prawomyślnych a treścią milion czczonych tegoż nastroju wypracowań. Zdawałoby się na pozór, że trudno coś niewinniejszego popełnić, jak wydrukować swoje szczere myśli i uczucia, które nikogo osobiście nie obrażą. Tymczasem jedni stawiają to na równi z kradzieżą cudzych jabłek, inni uważają za czkawkę, którą w przyzwoitem towarzystwie literackiem każdy stłumić powinien. Współpracownicy *Wiązanki* opowiadają nam nie zawsze dość wymownie, ale zawsze z serdecznym zapałem o niedoli lub poniewierce ludu, o nieszczęściu kobiet uwiedzionych, o okrucieństwie dworu i plebanii, o rozpaczy, o smutkach i łzach, które może nie płyną szeroką rzeką, ale w życiu naszem niewątpliwie się sączą. Młodość z natury swojej chwyta myślą obrazy jaskrawe i wyraża je jaskrawo, a niemal każdy pisarz rozpoczął od krwawej tragedyi i melodramatu. Ale czy ten pierwszy popęd, ta miłość dla głębokich ran serca ludzkiego jest czemś zdrożnem, gorszem niż „fałszowanie mleka?“ Zaiste kronikarz *Biesiady* musiał mieć niezwykle silny napad drapieżnego sentymentalizmu, robiąc takie zestawienie. Nigdy nie przestanie mnie zastanawiać jedna kwestya: czy wojujący pułk konserwatystów nie odczuwa wcale wagi wystrzeliwanych przez się obelg, czy też sądzi sprawiedliwie, że te pociski zbyt są mizerne, ażeby je odpierać warto?

Pytanie to stanęło również przede mną, gdym czytał dwie kroniki Lama przeciw

Prawdzie, które na innem miejscu zasłużonym przytyczkiem rozbija korespondent lwowski. Nietylko szanowny, ile dawniej dowcipny a dziś zniedołężniały humorysta zapomina naraz o wszystkich paszkwilach, jakie napisał, o wszystkich procesach, jakie mu wytaczano, o wszystkich rękach, przez które przechodził, nawet o wyznaniach swoich przed sądem co do sprężyny kierującej jego piórem — i na grzeczną uwagę p. Rewery odpowiada brutalstwami. Z tą samą łatwością, z którą przeskakiwał z obozu do obozu, z dziennika do dziennika, aż wreszcie drogą licytacyi dostał się do miejsca, które najbardziej opluł, do urzędowej *Gazety lwowskiej*, z tą samą — mówię — łatwością zrzuca dzwonkami obwieszoną czapkę „grubego a sprosnego Marchołta." i wkłada na głowę hełm rycerski. *Gratulire, k. k. Rittervon Gulden.* Bardzo pięknie— tylko poczekajmy zapust i maskarady. Tymczasem zaś możemy pomówić bez przebierania się. *Koroniarz w Galicyi, Głowy do pozłoty, Wielki świat Capowic*, dawniejsze kroniki były to piękne strumienie humoru i objawy wielkiego talentu, które my dotąd szanujemy. Ale od lat kilku, panie Lamie, zużyłeś się tak dalece, że przedrukowywane w Warszawie twoje fejletony budzą politowanie, jeszcze robisz, ale nie masz natchnień, nie mogąc trzęsącemi się nogami pospieszyć za rydwanem postępu, pokazujesz mu zdala język, tak wyczerpałeś się z ostatnich zasobów swego dowcipu, że nawet w obryzgującej nas kronice pożyczasz sobie z dawnych swoich konceptów anegdotę o Szczepańskim i księciu d'Este, sprzedając ją czytelnikom jako nową. Muza, która cię tak długo kochała, dziś płacze, widząc żeś został zdziecinniałym Jowialskim. Jeszcze jeden koncept lub żart tłusty, jeszcze dwa, trzy, dziesięć, ale to wszystko, na co się zdobędziesz. Publiczności, pytającej: „czy umiesz pisywać i artykuły oryginalne?" możesz tylko już dziś odpowiedzieć, jak Szczepański księciu d'Este: *Nein, Hochheit, ich übersetze* — tłomaczysz gazety wiedeńskie lub swoje dawne pomysły.

Mówię to bez gniewu, ale ze smutkiem, ze smutkiem prawdziwym, widząc, że autor, który tak znakomicie ośmieszał „wielkie światy Capowic," stał się zbyt wcześnie „głową do pozłoty."

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Z ust obywatela ziemskiego. — O służebności. — Pielenie chwastów a poprawa gruntu. — Walki z koniokradztwem. — Haracz złodziejów. — Odkryta banda. — W interesie bezpieczeństwa i moralności. — Skargi lekarza.

Autor korespondencyi z lubelskiego w *Gazecie rolniczej* p. Witold Tarcza dotyka kwestyi, którą niejednokrotnie już poruszaliśmy w szpaltach *Prawdy*: co inteligencya wiejska może i powinna robić dla ludu. Słuchajcie więc: „W sprawie tej nikt inny nie winien, jak nasi praojcowie dawniej a dziś my sami." „Zrosłem się z tym ludem, znam go niemal jak własne ukochane dziecko, wiem, co jest wart i dlatego z boleścią wyznać muszę, że błędnie bardzo z nim postępujemy." „Nigdy nas niestać na słowa zachęty, miłości serca i rozumu." „Zawsze chętnie przyjmujemy rolę pana nad podwładnymi, wyzyskującego nad wyzyskiwanymi, albo też groźną postawę geniusza nad bydlęciem." Dalej w tym samym duchu i w tym samym tonie, a pisze to nie jakiś postępowiec, ateusz, czy tam socyalista, ale szlachcic na roli osiadły. Zapewne, ściślej obejrzawszy, nie zgodzilibyśmy się z nim na to lub owo, nasze punkty wyjścia są prawdopodobnie różne, ale wskazanie możności i środków działania, ale uznanie konieczności tego odczute sercem i podyktowane rozumem stawiają nas na wspólnym obywatelskim gruncie wolnym od wszelkiego rodzaju służebności kastowego samolubstwa. Ach te służebności... Chociaż p. Witold Tarcza i o nich jest innego nieco zdania: „Serwituty, krzyknięcie, to niegodziwe serwituty są przecież zawsze kością niezgody!"

„Przywidzenie!"

No nie tak bardzo znowu przywidzenie, kiedy nieraz stają się przyczyną strasznej, realnej katastrofy.

We wsi Rogożno, w Łęczyckiem, włościanie, jak donosi *Kuryer warszawski*, zaczęli nadużywać przyznanych im służebności; wtedy właściciel folwarku wystąpił na drogę sądową i uzyskał wyrok, skazujący ich na zapłacenie wyrządzonych szkód. Z wyrokiem zjechał na grunt komornik w towarzystwie strażników ziemskich i przystąpił do egzekucyi. Wtedy włościanie stawili opór a zgodnie z tradycyą chłopskich buntów w pierwszym szeregu wystąpiły baby, wyrwały komornikowi papiery i podarły je, przyczem zarówno urzędnik sądowy jak i strażnicy zostali czynnie poturbowani, dopiero przybycie siły wojskowej złamało opór.

Dalszy przebieg sprawy wiadomy: główni sprawcy zostali uwięzieni, oddani będą pod sąd i ukarani surowo a pokątny doradca, który ich do tego namówił, ratował się ucieczką.

Socyologowie nasi na wypadki takie mają najprostsze lekarstwo: wszystkiemu winien pokątny doradca, który przyszedł, obałamucił chłopów i uciekł, należy tylko tajemnych adwokatów pakować do kozy i wszystko będzie dobrze. Nie myślę bronić tej kategoryi ludzi i nie mam nic przeciw pozbawieniu ich rozkoszy swobodnego przepędzania czasu; ale sądzę, że to szkodliwe pasorzyty rodzić i płodzić się mogą tylko na chorobliwym i osłabionym organizmie. Na uprawnej roli nie rosną chwasty, a samo wyrywanie ich z gruntu nie uwolni go od nich. W gospodarce naszej społecznej za zbyt wielkie znaczenie przypisujemy pieleniu wszelakich ostów i bodyaków; dobro to kiedy szkodliwe rośliny wyrastają gdzie niegdzie, ale bezpieczniej tak uprawić rolę, żeby na niej wschodzić nie mogły. Jeżeli dziś wpakujemy wszystkich pokątnych doradców do kozy, jutro na ich miejsce znajdą się inni i powtarzać się to będzie dotąd, dopóki nie zniknie odpowiedni grunt dla ich operacyj. Oto niedawno w Mińsku sąd roztrząsał sprawę niejakiego Daszkiewicza, który obałamucił setki włościan obietnicą otrzymania za darmo ziemi w kraju usuryjskim. Biedacy chętnie płacili mu po rublu wpisowego, a kiedy policya zaaresztowała oszusta, napadli na więzienie i uwolnili go. Rozumie się, ręka sprawiedliwości uchwyciła znowu winnego za kołnierz i nie ominęła go zasłużona kara; ale pierwszy spekulant w każdym czasie powtórzyć może tę samą sztukę i znów bałamucić łatwowiernych a spragnionych kawałka ziemi, kiedy aż decydowali się szukać go na krańcach Syberyi.

Bezskuteczność dotychczasowej walki z koniokradztwem powinna przekonać zwolenników drakonowskich praw, że wyłącznie surowością niewiele zdziałać można. Przypuśćmy, że prawo nie zawsze karze złodziei, ale poszkodowani mszczą się w straszny sposób i niewiele to pomaga.

Niedawno włościanie na Ukrainie smażyli na ogniu posądzonego o kradzież koni, smarując go roztopioną słoniną; na Żmudzi poprostu kołami zabili schwytanego na uczynku — odstraszyło to może na chwilę miejscowych złodziejów i skłoniło do przeniesienia swej działalności w inne okolice — ale nie więcej. W gubernii mińskiej koniokradztwo staje się zorganizowaną instytucyą, pobierającą stały haracz od swoich ofiar. Jeżeli kto się nie okupi najlepsze rygle nic mu nie pomogą.

Dzierżawca jednego majątku w zeszłym roku otrzymał wezwanie opłacenia 5 rubli; złożył wymaganą kwotę i cały rok był spokojny. Obecnie zażądano odeń 8 rubli, ponieważ dokupił kilka koni; kiedy zaś odmówił płacenia zwiększonego podatku, skradziono mu trzy konie i nałożono 50 rs. nowego okupu. W danym wypadku policyi udało się wpaść na ślad bandy i konie zostały odebrane; ale dzierżawca drży ze strachu, lękając się zemsty.

Trudno zresztą nieraz wpaść na trop, bo złodzieje koni wyrobili sobie spójną i karną organizacyę.

W Zambrowie, według *Gazety świątecznej*, kradzieże przybrały szerokie rozmiary, zaczęto śledzić i podejrzenie padło na kilku miejscowych żydów. Właścicielka skradzionych koni postanowiła dochodzić sprawiedliwości i znalazła dwóch świadków. Nagle w majątku jej wybuchnął pożar, który zniszczył wszystkie budowle i w tym samym czasie jeden ze świadków poczęstowany przez jakiegoś żyda piwem zmarł nagle, jak się okazało, otruty. Sędzia śledczy wtedy gorliwiej jeszcze zajął się całą sprawą, zebrał staranne dowody i uwięził 23 izraelitów. Wtedy wykryły się ciekawe szczegóły: w mieszkaniu jednego ze złodziejów znaleziono masę poświadczeń wrzekomego kupna koni z podpisem i pieczęcią wójta gminy, który był wspólnikiem bandy. Wójt ten wybrany był na urząd dlatego, że najhojniej częstował wyborców. Korespondent, wykazując szczegółowo znaczenie każdego ogniwa w tym łańcuchu wypadków, dotarł prawie do pierwszej przyczyny, którą w tym razie będzie wadliwe urządzenie stosunków gminnych, zależne znowu od innych, ogólniejszej natury warunków... Ale zaprowadziłoby to nas za daleko...

Zdrowe pojęcie samorządu gminnego nie jest jednak obce włościanom i zaczyna przejawiać się coraz częściej w uchwałach, regulujących wzajemne stosunki i obowiązki obywateli tego społecznego mikrokosmu, niewłaściwie uważanego jedynie za najniższą jednostkę administracyjną. Mamy właśnie do zanotowania cały szereg postanowień wydanych w różnych miejscowościach kraju, w Lubelskiem, Podlaskiem i Kaliskiem, ograniczających z obawy pożaru palenie tytoniu przez dorosłych i wzbraniających go małoletnim. Przepisy takie wtedy tylko mają znaczenie, jeżeli wychodzą z dołu a nie z wyżyny kancelaryjnych biórek. Szczególniej godną jest pochwały piecza o moralność i zdrowie małoletnich; niektóre gminy nie poprzestają na zabronieniu palenia tytoniu, ale nie pozwalają również szynkarzom sprzedawać im trunków. Bełżyccy ojcowie poszli jeszcze dalej i postanowili karać przestępujących zakaz — chłostą! Nie wiem, jak kto, ale ja w tym szczególe widzę „dobroczynny wpływ inteligencyi" albo raczej brak rozumnego wpływu, co u nas zwykle na jedno wychodzi.

Pewien korespondent *Gazety polskiej* wystąpił ze skargą na wyzyskiwanie... nie zgadniecie kogo — lekarzy, którym obywatele ziemscy płacą za wizytę 4 do 6 rs. No! nie jest to znowu tak mało i pragnąłbym tylko przez całe życie być tak wyzyskiwanym, chociaż znowu trzeba przyznać, że szanowny doktór przytacza istotnie nieraz oburzające przykłady eksploatowania cudzej pracy. Nie mogę tylko na sposób jego rozumowania, stawiający lekarza na równi z restauratorem, który darmo nie da jeść biednemu, lub krawcem, który za darmo go nie ubierze. Jeżeli doktorzy uważać mają swoje powołanie jako rzemiosło, dające im pewien dochód, to na jakiej zasadzie pretendują do bohaterskiej roli, dlaczego mówią o swojem poświęceniu się i zasługach. Juścić i każdy szewc uważać się ma prawo za pożytecznego członka spo-

łeczeństwa a przecież na piedestał nie włazi i nie głosi o swej pożyteczności. Więc jedno z dwojga: albo pewne stanowisko z nieodłącznymi odeń ciężarami, albo prosta wymiana usług za pieniądze, bez pretensyi do dobrodziejstwa.

Nie mam nic wszakże przeciw proponowanej taksie, która nie byłaby za wysoką, gdyby wszyscy lekarze trzymali się aforyzmu nieboszczyka Girsztowta, przytoczonego przez korespondenta: „biednych za darmo, bogaty niech ci płaci za biednego.“ Sądzę wszakże, że znajdzie się wielu doktorów, którzy i od bogatego wezmą za biednych nad taksę i od biednych za siebie co się wziąść da. A dla biedaków to trochę za wiele płacić np. za operacyę akuszeryjną 10 rs. albo za wizytę zamiejską 3 rubli i 50 kop. od wiorsty. Niema więc w tem nic dziwnego, że szukają tańszej porady, której udzielają im liczni znachorzy z profesyi albo zaimprowizowani lekarze, jak np. wędrowny węgier, który cieszył się w okolicach Biały niezwykłem powodzeniem, dopóki nie został pociągnięty do odpowiedzialności i skazany na parę tygodni kozy. Kolega jego na Litwie leczy jeszcze lepiej —oto recepta dla chorej na cholerynę: „założyć parę koni gniadych do drabiastego wozu, położyć się na wznak na gołych deskach i kazać przewieźć się co koń wyskoczy przez świeżo zaorane pole od domu do figury i napowrót.“ Skutek pewny — śmierć pacyenta, ale cóż ma robić biedny chłop wobec taksy po 50 kop. od wiorsty. Niech pocieszy się myślą, że restaurator nie daje darmo jeść biednemu a krawiec darmo go nie ubiera!

Nil.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 maja.

Nastaje w świecie politycznym pora dłuższego zastoju, pora ciszy i wypoczynku zarówno dla parlamentów, jak i dla dyplomatów. Izby muszą uporać się z zaległemi sprawami przed wakacyami letniemi, dyplomaci oświeżyć i wzmocnić stargane siły i osłabione nerwy. Dziś żadna brzemienna poważnemi następstwami chmura nie zaciemnia politycznego widnokręgu, pokój powszechny przynajmniej w Europie na czas jakiś zapewniony, mogą więc i monarchowie i ich doradcy i przedstawiciele narodów zażyć wywczasu u wód lub w wiejskiej ustroni.

Parlament niemiecki odroczył już swe posiedzenia, uchwaliwszy ustawę wyjątkową. Kanclerzowi udało się za jednym wystrzałem zabić dwa zające; nietylko bowiem szczęśliwie przeprowadził prawo przeciw socyalistom, ale zarazem skorzystał z wniesionego przez Richtera projektu ustawy o przechowywaniu materyałów wybuchowych, którą przywódca postępowców pragnął zamienić prawa wyjątkowe. Po uchwaleniu potrzebnych praw niepotrzebny na teraz parlament otrzymał jeszcze admonicyę za wsadzanie ciekawego nosa w nie swoje (według Bismarka) sprawy. Z powodu rozpraw o nadużyciu władzy urzędników przy wyborach ogłoszony ogłoszony został list cesarza Wilhelma, uważający mieszanie się parlamentu do tej sprawy za wkraczanie w atrybucye władzy wykonawczej.

Zajście z lewicą w austryackiej Radzie państwa zakończyło się pomyślnie; zresztą w gruncie rzeczy sprawa ta nie miała wcale poważniejszego znaczenia. Powodem jej było głosowanie w kwestyi bodaj trzeciorzędnej, przy ustawie o zapobieżeniu zalewom pól, nie mogło więc być zasadniczego starcia między centralistami i prawicą. Chodziło głównie o regulamin głosowania i tylko rozjątrzenie opozycyi mogło z tej muchy zrobić słonia. Secesya z tak błahego powodu zaszkodziłaby tylko lewicy w oczach wyborców a więc ochłonąwszy z gniewu członkowie tego stronnictwa wrócili do Izby. Rada państwa uchwaliła dwie ustawy rozszerzające nieco swobodę prasy w Austryi, pierwsza dotyczy prawa całkowitego drukowania mów parlamentarnych, druga t. zw. postępowania przedmiotowego, na mocy którego policya, nie czekając decyzyi prokuratoryi, mogła konfiskować cały nakład dziennika. Ministeryum jednak waha się z przedstawieniem tych uchwał do zatwierdzenia cesarza.

Sejm galicyjski zwołany na 16 czerwca. Przedmiotem zajęć jego będzie ustawa szkolna. We wrześniu znowu rozpocznie się sesya za rok 1884.

Traktat z Chinami oddaje Francyi terytoryum równe jej co do wielkości z 18 milionową ludnością, i ogromnemi bogactwami mineralnemi. Część wojsk będzie mogła być wycofaną. Skończywszy z Tonkinem Rzeczpospolita zabiera się do Madagaskaru, dokąd skierowane będą zbywające wojska.

W Bukareszcie odbyło się liczne zgromadzenie, którego uchwały skierowane były przeciw ministeryum Bratiana. Policya i wojsko rozpędziły lud a obie Izby uchwaliły rządowi wotum zaufania. Opozycya jednak działa energicznie, złożone zostały znaczne sumy na podtrzymanie agitacyi, która zapowiada, że nawet przed rewolucyą nie cofnie się.

Gubernatorem Rumelii wschodniej wybrany został kandydat rosyjski Krestowicz. Aleko-baszę popierała głównie Francya, ale zmuszoną była ustąpić, ponieważ Porta oświadczyła się za Krestowiczem.

Petersburg. 6/18 maja ogłoszonem zostało dojście do pełnoletności Cesarzewicza Następcy tronu, który wobec Najjaśniejszego Pana i dostojników państwa złożył przepisaną prawem przysięgę. Na uroczystość tę przybył z Berlina syn następcy tronu niemieckiego książę Wilhelm.

CUDZE GŁOSY.

Wieczna intryga. *Moskow. Wied.* powstanie nihilizmu w Rosyi przypisują... wpływowi polaków:

„*Nasza nihilistyczna rewolucya jest bodaj czy nie odrostkiem polskiego spisku.* Istnieją poważne dane, pozwalające sądzić, że jezuicko-polska sprawa *jeżeli nie jest* wszystkiem w naszym *nihilizmie to stanowi najistotniejszą jego część.* Stosunek jej do naszej nihilistycznej rewolucyi jest stosunkiem duszy do ciała, ręki do narzędzia. Powodzenie nihilizmu leży w interesie polsko-jezuickiego spisku.“

W dalszym ciągu powtarzają się wciąż kombinacye wyrazów: sprawa, spisek, nihilizm, rewolucya, jezuicko-polski, jak powyżej, wreszcie z *dokumentami* w ręku gazeta wykazuje, że:

„Międzynarodówka zorganizowała się w 1864 r. w Londynie *sub auspiciis* polskiej sprawy. My możemy dokumentalnie stwierdzić, że w następnym 1865 r. nowo-utworzone międzynarodowe stowarzyszenie na zebraniu w Genewie wystawiło w swym programie między rozmaitemi ekonomicznemi i socyalistycznemi bzdurstwami jako główny cel przywrócenie Polski i konieczność zniesienia (aneantir) rosyjskiego absolutyzmu i jego wpływu w Europie. Wypadkiem dostaliśmy drukowany egzemplarz tego programu. Było to w r. 1865 a w 1866 Rosya dowiedziała się o dniu 4 kwietnia (zamach Karakazowa).

Dalej jeszcze lepiej — jest bowiem mowa o związku z nihilizmem sprawy Kraszewskiego.

„Zwracamy uwagę czytelników na dzisiejszy telegram z Lipska, który donosi o treści urzędowego dokumentu, czytanego w sądzie na sprawie Kraszewskiego, którego sądzą w Niemczech jako politycznego przestępcę i którego jubileusz z wielkim tryumfem święcili polscy patryoci przed 3—4 laty w Krakowie. Bardzo jest prawdopodobnem, że proces Kraszewskiego *ujawni fakty, które mieć będą interes i dla nas.*“

Jak się to czasy zmieniają! Jeszcze przed paru laty prasa nasza, przeczytawszy ten cudacki wywód, wystąpiłaby z jednobrzmiącym protestem. Dziś patrzy nań spokojnie, uśmiecha się i ani myśli o uroczystem zaprzeczeniu. Musi to być przykrem p. Muraszce.

Bismark o nihilizmie. Kanclerz niemiecki jest człowiekiem niewątpliwie trzeźwym, krytycznym, ale często zdumiewać się trzeba nad jego nieznajomością rzeczy powszechnie znanych i lekkomyślnym pośpiechem, z jakim publicznie głosi sądy „z powietrza chwycone.“ Broniąc w parlamencie ustawy przeciw socyalistom rzekł on:

„Zjawiska te w Niemczech i Rosyi są o całe niebo różne. W Rosyi nie chodzi (?) o kwestye socyalistyczne, robotnicze. Nihiliści rekrutują się nie z robotników, lecz z proletaryatu umysłowego. Jest to skutek nadprodukcyi ludzi połowicznie wykształconych. Nihilizm rosyjski jest raczej klimatycznym wyrodkiem postępu, niż socyalizmu.“

Czyli, według Bismarka, nihilizm nie ma w sobie szpiku socyalistycznego. Nie potrzeba zbyt blisko przyglądać się temu ruchowi, ażeby dostrzedz, jak daleco kanclerz niemiecki go nie zna.

Dwaj przyjaciele. *Czas* przytacza z tygodnika berlińskiego *Zukunft* rozmowę kard. Czackiego z korespondentem niemieckim o Ledóchowskim, którą jednak uważa za podrobioną.

„Rząd pruski bardzo źle robi, iż ks. Ledóchowskiego nie ułaskawia i do Poznania nie przywraca. Przez to bowiem niepotrzebnie robi się z Ledóchowskiego męczennika za wiarę i narodowość, a więc świętego i kościelnego i narodowego. To tylko powiększa znaczenie i wpływ kardynała w całym świecie katolickim, a szczególniej u papieża, który już mu nadał wpływowy urząd kuryalny, agdy tak dalej męczeństwo ks. Ledóchowskiego będzie wzrastało, natenczas stanie on się ulubionym i poszukiwanym doradcą Ojca ś. i prefektem jakiej bardzo ważnej kongregacyi. Dalej jeszcze, choćby osadzony był w Poznaniu koadjutor lub zastępca ks. Ledóchowskiego, dyecezyanie tęskniliby za swoim męczennikiem-biskupem, a nowy pasterz dyecezyi miałby przez to bardzo trudne i bezpłodne stanowisko. Ks. Ledóchowski jak był przyjazny prusakom na początku swego urzędowania, jak go wtedy ujęła grzeczność najwyższych kół berlińskich, zwłaszcza dam z tej sfery, tak; im zrobi się i po ułaskawieniu; popadłby znowu w ten sam zapał pruski, a wtedy polacy samiby go osądzili i wpływ jego między nimi upadłby.“

Doprawdy, kardynał Czacki, jeśli tak mówił, zna dobrze swego kolegę i sprawiedliwie go sądzi, źle tylko robi, że takie rady daje niemcom.

WYCINEK Z LISTU A. MICKIEWICZA.

Henryk ks. Lubomirski (ur. 1777 um. 1850) założyciel muzeum Ossolińskich i kurator tego zakładu, autor *Wiadomości o Krzemieńcu* i zasłużony mecenas nauk, zapragnął także mieć autograf Mickiewicza. Nie chcąc udać się z tą prośbą wprost do Adama, starał się wydostać jego rękopis za pośrednictwem pani Elżbiety Mickiewicz. Ale

twórca *Pana Tadeusza* wzbraniał się uczynić zadość życzeniu księcia. Z jednej strony wrodzona geniuszom skromność, a z drugiej szlachetna duma, niechcącego uchylić szyi przed magnatem, stanęły między wielkim panem i jeszcze większym poetą. Dopiero po długiej i natarczywej prośbie dał się nakłonić do prawie wymijającej odpowiedzi księciu. Zanim ją poznamy posłuchajmy pierwej pośredniczkę w tej sprawie.

Jaśnie Oświecony Xiąże!

Mozolna to jest praca przekonywać uczonych, bo wiem im wyżej, tym więcej skromność niedozwala im czuć prawdziwą wartość rzeczy na dal tak wielce szanownej. Owóż po wielu natarczywościach otrzymałam nakoniec zezwolenie *własnoręcznym* tu załączonym fragmentem poświadczone, i niepomału zawstydzona się czuję, iż przyjąwszy obowiązki nie przewidziałam warunków czyniących zaszczyt stronom obu. Dopełniając mile przyjętego zlecenia pozostaje mi przedstawienie, iż skutek chęci Waszej Xiążęcej Mości od Jego zawisł woli bezpośrednio w miejsce pobytu lub za moim kierunkiem *własnoręczne* przesłać żądanie. Mnie zaś pochlebny dostał się udział, iż miałam sposobność bydź użyteczną dla dwóch tak wysokich znakomitości, dla których z głębokim uszanowaniem moje uznaję uwielbienie.

Eliza Mićkiewicz.

14 Juni 1836. W Krakowie, ul. Floryańska Nr. 549.

Wspomniany w powyższym liście fragment listu Mickiewicza, zapewne z maja lub z pierwszej połowy czerwca 1836 r. (wycięty z obszerniejszego listu) podaję tu z autografu biblioteki Ossolińskich l. 1019 in 4-o.

„Za pretensię pretensia i ja żądam mieć autograf księcia Hen[ryka] niech do mnie napisze żądając jakiéj rozprawki do dziennika jakiego, to mu ją napiszę. Niedawno miałem kommunikacyę od bibliotekarza cesarskiego Dunina Borkowskiego *) zacóżbym miéć nie miał od opiekuna bibl[ioteki] Os[solińskich].“

Niewiadomo na pewne, czy książe Lubomirski zdecydował się napisać pierwszy do Mickiewicza. Przypuszczam, że nie z braku odpowiedzi Adama w zbiorze korespondencyi księcia, który po otrzymaniu powyższych słów Mickiewicza czuł się może zaspokojonym w swojem pragnieniu.

Drobny ten strzępek listu Adama, nad którym może zbyt długo zatrzymałem uwagę czytelników, nasuwa smutne myśli. W twórcy *Pana Tadeusza* zanikała powoli twórczość *poetycka*, przygnieciona ciężką *prozą* życia. Po „górnej i chmurnej“ młodości nastąpił „wiek męski, wiek klęski.“ Wielki poeta pisze artykuły dziennikarskie. Na nic innego nie może się zdobyć, kiedy go proszą o kilka słów na pamiątkę.

H. B.

*) Józef Dunin Borkowski, poeta i literat galicyjski.

WYKŁADY PUBLICZNE.

„Ultimus.“

P. Konopnicka.

W małym domku na przedmieściu jednego z pomniejszych grodów żmujdzkich mieszkała uboga wdowa — pani Rożnowska. Mąż nieboszczyk a ojciec jedynego jej syna — Julka — niegdyś oficyalista dworski, pozostawił ją w ciężkiej nędzy. Musiała więc pracą ręczną zarabiać na utrzymanie dla dwojga i na wychowanie chłopca, który niebawem wyrósł na gładkiego młodzieniaszka. Całą spuścizną po zmarłym było niezaspokojone pragnienie szlachectwa. Stary głęboko wierzył w wysokie pochodzenie Rożnowskich i tylko brak środków materyalnych uniemożliwił mu wyświetlenie prawdy. Pozostało jednak po nim parę spłowiałych listów, świadczących, iż kilkakrotnie zawiązywał stosunki z jakimś pokątnym doradcą, mającym niby ułatwić trudne zadanie. Szpargały te, jak świętości, chowane były przez wdowę. Wychodząc za mąż, p. Rożnowska uległa przeważnie pokusie *dobrego* nazwiska, z jakim zresztą łączyła zawsze w myśli piękne i ciężkie obowiązki. Dzięki tej swojej słabości odmówiła ona jeszcze pierwej ręki niejakiemu Chmielowi. Wzgardzony kochanek — człowiek z gminu — poprzysiągł okrutną zemstę. Zostawszy z biegiem czasu przywódcą przemytników i „koniokradów“ okolicznych, wciągnął do swojej szajki i syna wdowy. Gdy sprawki złodziei dotknęły uboższą ludność wiejską, oburzenie mieszkańców wzrosło tak dalece, iż na Chmiela i jego towarzyszy urządzono obławę. Zdrada wspólnika ułatwiła chłopom pojmanie głównego opryszka. Julka złapano również na gorącym uczynku. Nieprzytomna wstydem i bólem matka, ujrzawszy prowadzonego przez żołnierzy Chmiela, moralnego zabójcę jej syna, porwała z ziemi kamień i z okrzykiem rzuciła go na herszta bandy. Tłum otoczył go z wyciem i wrzaskiem, odbił strażnikom i ukamienował na miejscu.

Przyczyną tytułu nowelki był *żóraw.* zwany *ultimus.* Stary ptak kulawy trochę i ślepy na jedno oko chował się przez czas długi na smietnisku dworku, w którym mieszkała wdowa. W opowieści nie odegrywa on żadnej wybitnej roli; dzielił tylko samotność biednej wyrobnicy i w straszny dzień sądu nad Chmielem towarzyszył jej na miejsce kaźni. Poetce posłużył stary ptak do przeprowadzenia porównania pomiędzy wolnym niegdyś a później na śmietnisku skarlałym latawcem z jednej strony, a spodlonym przez życie młodzieńcem — z drugiej.

Szczerze demokratyczna dążność powiastki podnosi artystyczną jej wartość. Do tej ostatniej przyczyniły się niemało: piękne obrazy natury, wydatne porównania i język prawie bez zmazy. Zarzucić można autorce: zbyteczne odciąganie uwagi słuchaczów do postaci drugorzędnych, nie mających bezpośredniego z opowiadaniem związku. P. Konopnicka ulegała tutaj widocznie pokusom swojej poetyckiej, lubującej się w cudownych sylwetkach wyobraźni (cyganka huśtająca się w lesie, zapamiętały skrzypek itp.). Dalej niemile razić mogły zbyt częste wycieczki na pole humorystyki (scena z burmistrzową na ulicy i wiele innych). Traciła na tem jednolitość obrazu, do jakiej obowiązanym jest każdy nowelista. Jakkolwiek w życiu od wielkiego do śmiesznego krok jeden tylko bywa, to jednak w nowelce umysłu czytelnika takimi nagłymi zwrotami mordować nie należy. Nowelista powinien stanąć albo na gruncie postaci, której historyę opowiada, albo też na miejscu czytelnika, który z losami tej postaci się zespolił. Oszalała z bólu Rożnowska bezwątpienia nie zwróciła uwagi na płaską argumentacyę burmistrzowej; nie spostrzegłby jej również i ten, ktoby z żywem zajęciem śledził kroki nieszczęśliwej kobiety, dlatego też i słuchaczom należało niemiłego dysonansu oszczędzić. W powieści czytelnik ma więcej czasu, aby z tragicznych wrażeń ochłonąć i przejść do weselszych; w nowelce gwałtowny przeskok psuje całość obrazu, osłabia siłę głównego wrażenia, szkodzi przez to tendencyi — a prawdzie życiowej, którą zacieśnia do zbytku — usług wielkich nie oddaje.

J. K. P.

SPRAWA KRASZEWSKIEGO.

List ks. Bismarka wywołał wrażenie, jakkolwiek fakty w nim podane uległy zaprzeczeniu. Współudział polaków w wyprawie Garibaldiego nie może być uważany z niemieckiego stanowiska za występek, bo w tym czasie (1866) Garibaldi był sprzymierzeńcem Prus. Po odczytaniu tego listu obrońca Saul zażądał przesłuchania powtórnego niektórych świadków, zwłaszcza komisarza Paula z Drezna, na co sąd się zgodził. Dalszy przebieg procesu dotyczy głównie Hentscha, trybunał badał świadków, wyłącznie prawie oficerów pruskich, od których oskarżony czerpał materyały. Podobno Bismark nadesłał sądowi nową notę, ale trybunał po naradzie postanowił nie korzystać z niej wcale. Przywołany powtórnie komisarz Paul zeznał, że od wielu lat nadzoruje ściśle Kraszewskiego, ale nic podejrzanego nie zauważył. Podczas sprawy Jesielskiego (?) odbył u oskarżonego rewizyę i w papierach jego znalazł „Plan odbudowania Polski;“ dokument ten wszakże nadesłał sam Jesielski, któremu Kraszewski odpisał, że pomysł jego nie ma zdrowego sensu. Zresztą oskarżony żył samotnie, przyjmując wogóle mało osób, a z wojskowymi stanowczo nie miał żadnych stosunków.

Na tem skończyły się jawne rozprawy.

W piątek zabrał głos prokurator Trepplin. Jest on zdania, iż postępowanie dowodowe, aczkolwiek przy zbrodniach stanu zawsze trudno jest o dowody, dostarczyło ich w ciągu rozprawy tyle, iż każdy istotę czynów jasno ma przed oczyma.

„Muszę uczynić tu uwagę — rzekł wreszcie — iż nasze państwo napozór tylko używa pokoju. Jest ono obsaczone przez nieprzyjaciół. Właśnie przebieg procesu wykazał, że rozmaite państwa posiadają wspólny interes działania przeciw niemcom. Żyjemy w ustawicznej wojnie. Musimy się przeto strzedz całemi siłami i z całą energią przed nieprzyjacielem. Całe polskie stowarzyszenie ofiaruje usługi swoje Francyi w celu szpiegowania nas. Dla mnie list ks. Bismarka ma niepospolite znaczenie. Co się tyczy podsądnego Kraszewskiego, muszę zauważyć, iż dla mnie bynajmniej nie jest zagadką, dlaczego stary ten i chorowity człowiek, poświęcający się spokojnie pracy na Nordstrasse w Dreznie, stał się przestępcą stanu. Komu się to dziwnem wydaje, ten nie zna usposobienia społeczności, do której oskarżony należy. Tam dziecko w kolebce chłonie już w duszę mętne wyobrażenia, które niepozwalają mu bezinteresownie na świat patrzeć. Gdyby Kraszewski inaczej był usposobionym, nie urządzanoby dlań jubileuszu.“

W dalszym ciągu prokurator zarzuca Kraszewskiemu nienawiść do niemców i na poparcie swego twierdzenia zaczyna czytać ustępy z powieści *Bez serca*, ale na wniosek obrońcy prezes sprzeciwia się temu. Związki Kraszewskiego z rządem francuskim nie mogą ulegać zaprzeczeniu, w rezultacie więc wnosi prokurator skazanie Kraszewskiego na 5 lat więzienia. Mowa obrońcy Saula była dość słaba, wielu okoliczności łagodzących, wielu sprzeczności w oskarżeniu nie wykazała. Starał się on tylko dowieść, że objektywnie Kraszewski nie popełnił nic takiego, coby było występkiem, i że nie był dość doświadczony, by wiedzieć, iż to, co czyni zagraża dobru i bezpieczeństwu państwa niemieckiego. Pobudką jego działań była przyjaźń dla Zaleskiego, z chwilą śmierci tego ostatniego stosunki z Paryżem zostały zerwane. Po obrońcach zabrał głos nadprokurator Seckendorf i odnośnie do Kraszewskiego zauważył, że uczucie patryotyczne nie może w danym razie służyć za wymówkę, bo nie powinno nigdy prowadzić do zdrady kraju, który oskarżonemu okazał gościnność.

W poniedziałek o godz. 12 w południe sąd wydał wyrok, uznający Kraszewskiego winnym na podstawie dwóch punktów oskarżenia: wydanie Francyi pracy Hentscha: „Marsz armii niemieckiej ku granicy zachodniej“ (zdrada kraju według art. 92), tudzież list do Adlera z 17 lipca 1878 (przestępstwo według art. 49 a). Za pierwszą zbrodnię trybunał orzeka karę trzech lat, za drugie karę sześciu miesięcy więzienia w twierdzy. Co do innych punktów oskarżenia, Kraszewski zostaje uznanym za niewinnego. Kara wymierzona nie pociąga za sobą utraty praw obywatelskich. W motywach podano wyraźnie jako okoliczności łagodzące, że Kraszewski należy do obcej narodowości, że nigdy nie zaliczał się do rewolucyonistów, że długi żywot jego był bez skazy i że nie kierowały nim żadne niskie pobudki. Sąd wypuścił Kraszewskiego na wolną stopę, mimo iż nadprokurator Seckendorf żądał natychmiastowego aresztowania. Osadzono go tymczasowo w więzieniu powiatowem.

Po wysłuchaniu wyroku Kraszewski podał prośbę do cesarza o ułaskawienie. Spodziewają się powszechnie, że to nastąpi, a przynajmniej zmniejszenie kary.

Nawiasowo dodamy, że Hentsch skazany został na 9 lat domu roboczego (*Zuchthausu*).

O PRAWDĘ.

Z powodu mego rozbioru *Teoryi jest. idyod.*, autor jej w poprzednim n-rze *Prawdy* omawia parę kwestyj fizyologicznych, które, jak twierdzi, błędnie w swym artykule przedstawiłem.

Co do wrażliwości skóry objaśnia naprzód dr. Natanson, że doświadczeń Webera z cyrklem nie należy rozumieć, jakoby między dwoma końcami rozszczepionymi i rozdzielnie uczuwanymi, skóra miała być nieczułą. Ale przypisuje on mi w ten sposób pojęcie, którego wcale nie miałem. Rzecz prosta, iż w granicach koła wrażliwości skóra nietylko jest czułą, ale zdolną do przestrzennego lokalizowania wrażeń, albowiem koła owe przedstawiamy sobie nie jako leżące jedno obok drugiego, ale jako wzajemnie na siebie zachodzące i poplątane, co zresztą bez rysunku nie da się jasno przedstawić. Powołując się na doświadczenia Webera, miałem na celu okazać tylko, że nie „*cała* powierzchnia ciała jest na każdy wpływ czułą“ i że zachowanie się jej bynajmniej nie odpowiada temu, jakoby „z jednej masy nerwowej się składała.“ I w samej rzeczy doświadczenia te pośrednio stwierdzają niejednakową czułość skóry; z pozoru wprawdzie idzie tu tylko o przestrzenną lokalizacyę wrażeń, o oznaczenie stosunku między niemi; lecz właściwie od czegoż zależy odczucie stosunku między pojedynczemi wrażeniami, jeżeli nie od dokładności i siły wrażeń pojedynczo wziętych? Na jednych miejscach skóry wrażenia nie rozróżniają się i mieszają dlatego, że niedokładną jest w tym punkcie ogólna czułość skóry; na innych — przy tej samej odległości uczuwają się rozdzielnie dlatego, że każde z nich pojedynczo silniej jest odczutem. „Pojęcie odległości, ocena uczucia dotykowego jest wnioskiem z porównania wrażeń, otrzymanych przez czucie, jest czynością umysłu a nie zmysłu“ — słusznie mówi dr. N., ale ocena ta, czynność umysłu ni skądinąd czerpać nie może materyału, jak ze zmysłu i dokładność jej zależną jest przy innych równych warunkach od czułości tego ostatniego. Różny zaś stopień czułości zmysłu dotykania stwierdzonym wprost został przez Auberta, który znalazł, że na skroniach, czole, palcach odczuwamy nie więcej jak 0,002 gr. ciężaru, gdy tymczasem na innych częściach np. na plecach dopiero 0,05 gr.: a to już wyraźnie przeczy fizyologicznemu pojęciu dra N., że „każdy niemal punkt na powierzchni jest równie czuły.“ Zachodzi teraz pytanie, o ile różnice te czułości dotykowej przypisać należy niejednakowemu rozmieszczeniu nerwów. Sam Weber początkowo skłonnym był różnice kół wrażliwości objaśniać anatomicznie i przyjął, że każdemu kołu odpowiada jedno włókno nerwowe; gdy jednak wskazano czynniki psychiczne takie jak uwaga i wprawa, które wpływać mogą na zmniejszenie się kół czyli podnoszenie wrażliwości, musiał on tłomaczenie swoje ograniczyć; niemniej jednak i dotąd organizacya anatomiczna jest ostatecznym punktem, na który zejść musimy chcąc owe różnice wrażliwości objaśnić. Prawda, że wprawa zmniejsza koło wrażliwości, ale to do pewnej tylko granicy, dość prędko dosięganej, po za którą przy najdłuższej wprawie dalej pójść nie możemy: oczywiście staje tu zaporem przyrodzona organizacya narządu, bo inaczej dlaczegożby wprawa zrazu skuteczna po chwili wpływ traciła. Powtóre ważną tu wskazówkę stanowi fakt, zauważony przez Czermaka, że koła wrażliwości powiększają się czyli czułość się zmniejsza równolegle ze wzrostem ciała lub rozciągnięciem się skóry (np. przy brzemienności). Jest to naturalne i konieczne następstwo tego, że czułość skóry zależną jest od rozmieszczenia nerwów; w miarę bowiem wzrostu ciała zachodzi skutek taki, iż na tę samą ilość włókien nerwowych wypada większa niż przedtem powierzchnia skóry, albo że na daną powierzchnię skóry np. kwadratowy centm. teraz wypada mniej nerwów niż przedtem, i ta to właśnie okoliczność przy tym samym stopniu uwagi i wprawy powoduje obniżenie się czułości. Objaw ten jednak byłby chyba zgoła niemożliwym, gdyby podskórna sieć nerwów była tak gęstą, jakby „z jednej masy nerwowej się składała.“

W dalszym ciągu dr. N. stanowczo zaznacza istnienie różnic w budowie rozmaitych nerwów zmysłowych. Lecz tutaj porozumieć się naprzód należy, co w danym razie uznawać mamy za istotną różnicę. Jeśli weźmiemy pod uwagę większą lub mniejszą grubość włókien osiowych i ilość włókienek pierwotnych, ich ukształtowanie walcowate lub płaskie, obecność czy brak pochewki rdzennej lub onerwia, przewaga istoty białej czy szarej, sposób wyjścia z ośrodków czy rozszczepienia się w okolicach obwodowych, to zapewne wyraźne okażą się różnice między nerwami wzrokowym, słuchowym a bardziej jeszcze węchowym i innymi. Ale wszakże tym razem, gdy się budowa nerwów powołuje w kwestyi specyficznej energii, to wszelkie różnice w rodzaju powyższych są obojętne i idzie o wskazanie takich różnic, którym możnaby przypisać pewne funkcyonalne znaczenie, różnic, z którymi ściśle związaneby było fizyologiczne stanowisko danego elementu nerwowego, które odpowiadałyby tylko danej funkcyi i żadnej innej. Tymczasem żadne z powyższych znamion warunkowi temu nieodpowiada: ta sama właściwość budowy stwierdzić się daje w elementach, spełniających różną czynność, np. tak nerw węchowy jak nerwy współczulne składają się przeważnie z włókien szarych. Jednem słowem nie mamy dotąd żadnych różnic istotnych, któreby miały stałe znaczenie fizyologiczne i mogły służyć za dowód dla teoryi specyficznej energii, i różnic takich, jak mniemam, dr. N. nie wykrył, a jeśli wykrył, to dotąd drukiem nie ogłosił. Co do stanowczej odrębności narządów końcowych i ich znaczenia w specyalizacyi wrażeń, żadnych wątpliwości nie wyrażałem i dr. N. niepotrzebnie na odrębność tę nacisk kładzie.

W kwestyi specyficznej energii dr. N. stara się na jej korzyść wytłomaczyć przytoczone przezemnie doświadczenie Vulpiana. W tym punkcie przyznaję, iż słuszność leży po jego stronie: w samej rzeczy, jeśli nerw językowy przyjmuje też i włókna ruchowe, doświadczenie powyższe nie może dowodzić zastępczości funkcyj odśrodkowej i dośrodkowej. Niemniej jednak na stracie tego dowodu nie cierpi sama zasada: zastępczość bowiem funkcyj wielokrotnie stwierdzoną została w wypadkach zaburzeń czuciowo-ruchowych, mających siedlisko w uszkodzeniach rdzenia kręgowego a częściej jeszcze kory mózgowej. Dla należytego dyskutowania teoryi specyficznej energii dr. N. uważa za konieczne pojmowanie organu nerwowego, jako całości złożonej z włókna, ośrodka i narządu końcowego. Być może, iż jeden i drugi fizyolog wyrazu tego w ten sposób używa, stąd jednak nie wynika, aby użycie to było powszechnem a tem mniej obowiązującem. Pojęcie organu jest względne i przypuszcza pojęcie współrzędne funkcyi i ile razy mówimy o jakiejś funkcyi, tyle razy mniej lub więcej wyraźnie myślimy o organie, niema funkcyj bez organu i odwrotnie. W tym sensie przeto organem nerwowym tak dobrze będzie narząd końcowy, gdy mówimy o funkcyi odbierania bodźców, jak włókno—dla funkcyi przeprowadzania pobudzenia, jak wreszcie ośrodek — dla funkcyi świadomego odczuwania wrażenia. Funkcye zaś te bynajmniej nie są z sobą koniecznie związane, gdyż widzimy nieraz, iż niektóre z nich objawiają się niezależnie od innych. Rdzeń sporu o specyficzną energię nerwową bynajmniej nie leży w takiem lub innem pojęciu organu nerwowego, jak to sądzić zdaje się dr. N. Istotny punkt w tem spoczywa, że teorya specyficznej energii objaśnia jakość wrażenia temi *częściami*, po których przebiega proces pobudzenia i które dla takich pobudzeń pierwotnie i niezmiennie zostały uorganizowane; tymczasem teorya zastępczości szuka objaśnienia raczej w *formie* procesu (ruchu molekularnego), do której z czasem wprawdzie przystosowuje się dany organ, ale nie niezmiennie. Jasnem jest, że ta tylko ostatnia hypoteza godzi się z teoryą rozwoju, powstania wszystkich zmysłów z pierwotnego zmysłu dotykowego.

W końcu uważam za konieczne sprostować niektóre niedokładne wyrażenia dr. N., które mogłyby w błąd wprowadzić czytelników, specyalnie sprawą tą niezainteresowanych. Mówi on z powodu mojej krytyki: „chcę sprostować mylne pojęcia fizyologiczne autora, z których właśnie wysnuł zarzuty przeciw moim twierdzeniom.“ Z tego wynika, że 1) wszystkie punkty, który tu podnosi były w moim artykule przedmiotem zarzutów, i że 2) te pojęcia, które tu prostuje (w liczbie trzech) są wszystkie, z których zarzuty postawiłem. Tymczasem w rzeczywistości jest inaczej. Z przyjęcia specyficznej energii, którą tym razem najobszerniej dr. D. omawia, bynajmniej zarzutu nie wysnuwałem, zaznaczając tylko różnicę zdania; powtóre, wszystkich punktów, na których zarzuty swoje oparłem, jest mniej więcej czternaście, z tych siedm natury fizyologicznej. Wobec tego, jak sądzę, nie miał prawa dr. N. twierdzić, że prostuje te właśnie pojęcia, z których zarzuty przeciw jego pracy wysnułem,

J. W. Dawid.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowa szkoła. Zatwierdzoną została ustawa trzyklasowej szkoły rzemieślniczej z zapisu Michała Konarskiego. Kurs nauk sześcioletni; oprócz przedmiotów wykładanych w szkołach miejskich zawierać będzie naukę rzemiosł.

Bilety IV klasy. Ministeryum komunikacyi wydało przepisy o zaprowadzeniu biletów osobowych IV klasy na wszystkich kolejach rządowych. Może wreszcie i prywatne drogi żelazne pójdą za tym przykładem.

Prasa. Zamiast zawieszonego *Opiekuna zwierząt* od 1 lipca wychodzić zacznie *Przyjaciel zwierząt* pod red. p. Festenstadta.

Bibliografia polska. Juliusz Gensz *Gawędy z ludem o chorobach ważniejszych.* Warszawa, K. Prószyński.

— Książeczki dziesięciogroszowe. V *Ziarnko soli.* Warszawa.

— Maryan Gawalewicz *Barkarolla.* Obrazek dramatyczny, Warszawa, Rajchman i Frendler.

— Krzysztof Opaliński *Satyry.* Kraków, K. Bartoszewicz.

O prawdę. W ślady „naszych znanych“ publicystów wstępuje widocznie kronikarz *Dziennika łódzkiego*, który albo nie umie czytać, albo tego, co czyta, nierozumie, bo nie posądzamy go o rozmyślne przekręcanie cudzych zdań. Przypisuje on nam np. twierdzenie, że jądro społeczeństwa leży na wierzchu, kiedy my właśnie przeciw temu poglądowi wystąpiliśmy. Co do innych zarzutów radzimy p. kronikarzowi przeczytać raz jeszcze odnośny ustęp a od kolegi swego prowadzącego rubrykę *z tygodnia* poinformować się o właściwościach fejletonowego stylu, który bynajmniej ścisłości wyrażenia nie wymaga.

Praca małoletnich. Od 13 maja zaczęło obowiązywać nowe prawo, ograniczające pracę robotników małoletnich. Dzieci do lat 12 całkiem nie będą pracowały w fabrykach, a od 12 do 15 mogą być używane do robót najdłużej przez 8 godzin i nadto powinny być posyłane do szkoły przynajmniej przez trzy godziny dziennie. Jak widzimy, prawo istnieje i ma obowiązującą siłę, ale nie dla p. Handtkego i innych, w których zakładach małoletni pracują dłużej od dorosłych... no a metryk ich nikt nie sprawdza.

Proces. Znany współpracownik *Mosk. Wied.* Muraszko wytoczył *Dz. poznańskiemu* proces o obrazę, ponieważ korespondent warszawski tego pisma zarzucił p. Muraszce, iż został wydalony ze służby rządowej za nadużycia.

Więzienie w twierdzy szliselburskiej przeznaczone zostało dla przestępców politycznych i oddane pod zarząd naczelnika korpusu żandarmów.

Jubileusz. 50-letnią rocznicę istnienia obchodzić będzie we wrześniu uniwersytet kijowski. Na pamiątkę tej uroczystości wyjdzie historya tej szkoły z życiorysami byłych i obecnych profesorów.

Filie pocztowe. Od 13 lipca otwarte zostaną dwie nowe filie pocztowe w Warszawie.

Honoraryum. Max Nordau za dzieło swoje *Die conventionelle Lügen* otrzymał honoraryum 800 marek za arkusz druku.

Kawa. Do Cesarstwa i Królestwa sprowadza się rocznie 425,534 pudów tego produktu, wartości przeszło 6 millonów rs.

Parcelacya. W powiecie sierpeckim (gub. płockiej) w ostatnich 20 latach włościanie zakupili i rozparcelowali 15 większych majątków.

Zola pisze nową powieść, opartą na wypadkach ostatniego bezrobocia w Anzin; będzie to jednak dalszy ciąg *Rougon-Maquartów*.

Statystyka fabryczna. W okręgu warszawskim znajduje się 820 fabryk i zakładów przemysłowych, zatrudniających 120,000 robotników. w kijowskim 2405 i 76.300, w wileńskim wreszcie 3213 fabryk i 28,000 robotników.

Mieszkańcy Petersburga wypijają 2,075,000 wiader wódki i 4,500.000 wiader piwa, co wynosi na głowę wódki 3 i pół a piwa 7 i pół wiadra rocznie. Gazety rosyjskie, przytaczając te cyfry, pocieszają się, że w Londynie piją cztery razy więcej.

Pożar. Drugi z kolei teatr w Wiedniu tz. *Stadttheater* spłonął. Na szczęście ogień wybuchnął przed rozpoczęciem przedstawienia. Wspaniały budynek zgorzał do szczętu wraz z rekwizytami. Przyczyną pożaru była nieostrożność.

Zmarli: Smetana, znany kompozytor czeski.

— Kolb, autor znanej historyi cywilizacyi (*Kulturgeschichte*).

— Würtz, sławny chemik, prof. uniwersytetu strasburskiego.

— Bogusławski, geograf, naczelnik zarządu hydrograficznego w Berlinie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. B. Ł. w Łodzi. Pytania pańskiego nie rozumiemy dokładnie. Dzieła o „nauce przyrodniczej“ nie znamy i prawdopodobnie go nie ma.

Litaworowi. Nieodpowiednie — przesłaliśmy według adresu,

N. N. Niema.

Wigd. Odpowiemy później—jeśli będzie można.

Z. Nie.

Praktykowi. Sprawy tej dotyka p. Pielesz i my ją obszerniej objaśnimy.

W. Ar. Takie wywody mogą mieć wartość tylko oparte na faktach. Inaczej są niesłuchanem przez nikogo kazaniem.

P. S. R. w Płocku. Tygodniki niemieckie mają zupełnie inny typ i w żądanym przez Pana rodzaju żadnego nie znamy.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu ub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Мая 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**